

kamena

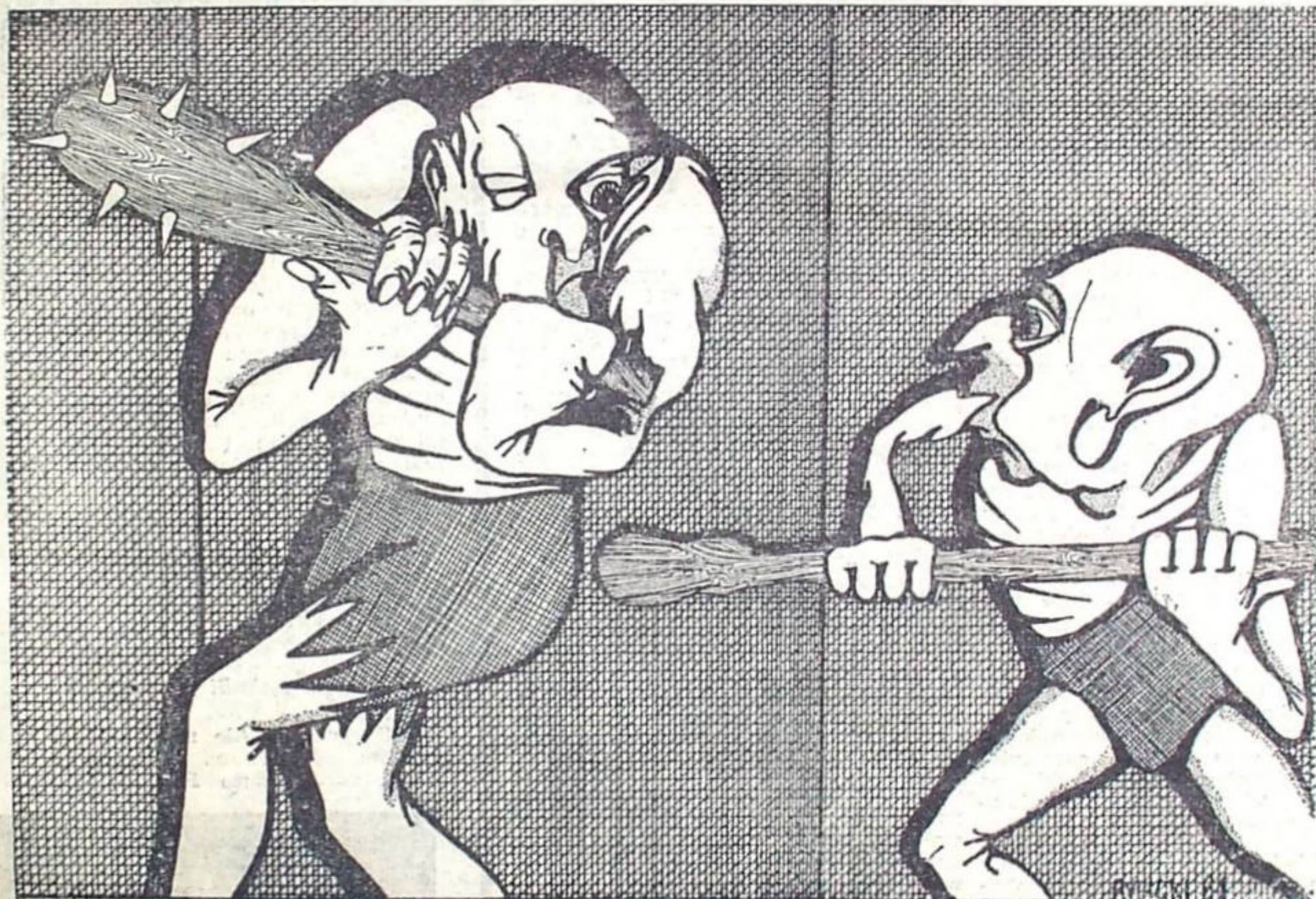
NR 2 (874)

25 stycznia 1987

Cena 15 zł

CENA STRACHU

Wiesław Horabik



Rys. Mariusz Rybicki

O TERRORYZMIE mówi się i pisze coraz więcej. Raz po raz relacje z krwawych tragedii okupują czółwki gazet i wypełniają serwisy agencyjne. Strzelania na lotniskach w Rzymie i Wiedniu, porwanie statku „Achille Lauro”, zabójstwo Olofa Palmego, zamachy bombowe w Madrycie i Paryżu. Na oczach milionów widzów rozgrywa się kolejne wielkie i tragiczne misterium XX wieku. Świat płaci w ten sposób (i tak relatywnie skąpo) cenę za najdłuższy w dziejach pokój w skali globalnej. Terroryzm, choć korzeniami sięgający samych początków ludzkiej historii, urasta w potoczny przekonaniu do rangi jednego z najwyrazistszych stygmatów naszych czasów.

Zajmujący się tą problematyką fachowcy wydają się być zgodni w opinii, iż, choć wysoce spektakularny, terroryzm jest nadal zaledwie marginesem światowego życia społecznego i politycznego. Jeśli przyjmiemy tę mar-

ginalność w sensie ilościowym, to dyskusyjną pozostaje kwestia marginalności jakościowej. Akty terroru są bowiem nie tylko zagrożeniem życia grup czy grupki ludzi w poszczególnych punktach globu, lecz tworzą także pewne socjologiczne uwarunkowania, mające, jak się wydaje, wymiar o wiele szerszy niż owe jednostkowe wybuchy gwałtu i przemocy. Dlatego, przykładowo, stwierdzenie Krzysztofa Mroziwicza w jednym z numerów „Polityki” (nr 41 z 11 października 1986): „Wraz z nasileniem się zjawiska następuje zmniejszenie i powolna, ale systematyczna, mimo iż sezon jeszcze trwa, zgodna z prawami rynku wyprzedaż strachu po niższych cenach” — jest, obok swoistej publicystycznej nonszalancji, typowym spojrzeniem z oddalenia, z punktu, gdzie terroryzm pozostaje pojęciem abstrakcyjnym i tak naprawdę, nierzeczywistym. (Autor zbyt chyba głęboko poddał się uspokajającej wizji Waltera Laquera, klasyka tematu.)

Tymczasem odrzucając chwilowo całą historię tej formy politycznej walki, różnorodność metod, jakimi się posługuje, i odcień, jakie przybiera, warto się chyba zastanowić nad skutkami powracających eksplozji gwałtu, choćby w życiu Europy; nad efektami, jakie przynosi terroryzm w egzystencji zwłaszcza społeczeństw mieszczańskich (w szerokim znaczeniu tego słowa). Nagle napompowane paniką i lękiem, wykazują one bowiem szczególne tendencje do plegnowania tego rodzaju strachu, który nieraz już zdołał zadziwić ludzkość swym nieoczekiwanym obliczem.

Ważnym przyczynkiem do takich rozważań może być książka „Oplekniecie obłąkanie” — ostatnia powieść Heinricha Bölla, zachodniemieckiego laureata literackiej Nagrody Nobla. Za podstawę dywagacji o stanie ducha

Dokończenie na str. 10

W Piaskach nie tylko flaki

Lidia Wójcik

L ENIWE dni poświęczone. Z rana zadyma straszna, zanosi się wreszcie solidnie na zimę. Taszczę się od przystanku po oblodzonym chodniku ulicy Lubelskiej. Mijam stare pożydowskie kamienice, nowe domki willowe, i te, charakterystyczne dla Piask, z kamienia, ciosanego piaskowca i czerwonej cegły. Gdzieś tam małe sklepiki wciśnięte przytulnie w głąbie domów. Zaglądam przez szybki do jednego sklepu, zdaje się, że to prywatny, ale jeszcze zamknięty, choć już prawie jedenasta. Handel, nawet prywatny, boi się, żeby nie dostać zadyszki z pośpiechu. Niegdyś bywało w Piaskach jakże inaczej. Przed wojną prasa lubelska cytowała informację, jaką pewien Żyd wystawiał czasem w oknie swojego sklepiku: „Z przyczyny chrzcina mego syna sklep zamknięty na 2 godziny.” Tylko.

Przy kiosku stoi parę osób. Jakis chłop w postrzępionym kożuszyku zwraca się do kobiety:

— Heła, nie czekaj na mnie, leć no za chlebem...

— A jużci, zaginam kiecę i lecę — odpyskuje rzeczona Heła.

Starszy, stateczny pan podprowadza mnie do budynku gminy. Narzekamy na śliskość ulic.

— Bo wie pani.. Gospodarka komunalna to jest w Swidniku, pewnie jeszcze nie zdążyli przyjechać z piaskiem. Tak to jest, że do Piask piasek ze Swidnika dowożą.

Przanoszą te narzekania do gabinetu naczelnika gminy. Ryszarda Siczka. Kiedy po rozmowach wychodzę stamtąd, ulica przy budynku urzędu wysypała już solidnie piaskiem i popiołem. Panie w sekretariacie naczelnika podają kawę, miłutkie. Pewnie nie zatrudnia się tutaj byle kogo. Właśnie są wolne aż trzy biurowe wakaty w Urzędzie Gminy, ale nie ma w Piaskach chętnych i odpowiednich po temu osób. Stąd nie dziwi wcale, że przez dwa lata szukano obsady etatu „babci klozetowej” w publicznym szalecie przy przystanku autobusowym.

Dokończenie na str. 8

z notatnika

12 I. Przedstawicielka „Kuriera Lubelskiego”, Zofia Rybak, zapytała wicewojewodę Bonawenturę Ziembę: „Jak pracowaliśmy w ubiegłym roku?”. B. Ziemia odpowiedział:

„Zle. Na jednego zatrudnionego w naszym województwie przypadało przeciętnie 147 godzin nie przepracowanych. Co ósma osoba porzucała pracę bez wypowiedzenia, co szósty pracownik zwalniał się. W niektórych zakładach zmieniła się jedna trzecia załogi. Nadmierna fluktuacja nie sprzyjała dobrej robocie, lecz nie tylko. Zamiast 42 godzin, tyle, ile wynosi nominalny czas, pracowano 30 godzin. 12 godzin tracono na przygotowanie się, rozpoczęcie i zakończenie pracy...”

Ponad 60 lat temu (w dniu 18 października 1925 r.) na Krajowej Konferencji Związku Ludowo-Narodowego przemawiał Roman Dmowski. Stwierdził on m. in.:

„Polak szczególnie miłośnikiem pracy nigdy nie był. (...) A już jak się Polska odbudowała, to powiadano sobie: no, przecież teraz na to nam Polskę odbudowano, żebyśmy mogli sobie odpocząć. Przecież to nawet u naszych dawnych mówców, dawnych pisarzy, jest znane powiedzenie: »marzymy o spoczynku na łonie wolnej ojczyzny«. Tak! Ideal — spoczynek na łonie ojczyzny — jak tylko odbudowaliśmy Polskę — rozpoczęliśmy wprowadzać w życie: zmniejszać ilość godzin pracy, a przez te godziny, które trzeba było pracować, więcej próżnować...”

Słowem, Panie [Wice]Wojewodo, nic nowego pod słońcem (nad Wisłą)!

15 I. Wrocławski tygodnik „Sprawy i Ludzie” wygrzebał te informacje z prasy krajowej. Ja mam zadanie ułatwić: smakoliki znalazły się na jednym talerzu! Pokosztujmy razem!

• Najmniej zarabiającymi w polskiej służbie zdrowia są salowe — średnio 12 tys. zł miesięcznie. O 25 proc. więcej otrzymują technicy i laboranci — 15 tys. zł. Następne są pielęgniarki i położne — 16 tys. zł. Jeszcze mniej niż salowe mają lekarze stażysty — niecałe 12 tys. zł.

• Tylko ok. 10 proc. kadry dyrektorskiej w resortach i urzędach centralnych to ludzie w przedziale wiekowym od 30 do 39 lat.

• 22 programy satelitarne można już dziś podglądać w Polsce. Potrzebna jest tylko antena paraboliczna o średnicy 2 metrów i oczywiście zgoda resortu łączności, który śladnie jeszcze zgody nie wydał.

• Wzrosły ceny dla dewizowych myśliwych. Za strzelenie do zabra trzeba w tym roku płacić 3 do 4 tysięcy dolarów.

• Cena jednego średniego egzemplarza książki polskiej podskoczyła w roku 1986 do 312 złotych.

• Polscy kibice piłkarscy nie mogą wyjść z szoku po ogłoszeniu wyników ankiety na najlepszą piłkarską jedenastkę świata. Wielcy znawcy futbolu, trenerzy drużyn Argentyny (dwaj), Francji, RFN, Włoch i Holandii za najlepszego napastnika uznali Dariusza Dziekanowskiego z warszawskiej Legii. Za nim uplasował się Diego Maradona, a trzecie miejsce przyznano Michelowi Platiniemu.

• 30 tys. zł grzywny wymierzono Kolegium ds. Wykroczeń przy naczelniku dzielnicy Wrocław-Krzyki adiunktowi Instytutu Filologii Polskiej UW Lotharowi Herbstowi za przewożenie przeznaczonych do kolportażu wydawnictw bezdebiutowych. Na rozprawie obwinionego reprezentował pełnomocnik powołany L. Herbst otrzymał zgodę Ministerstwa Spraw Wewnętrznych na wyjazd do RFN na leczenie.

• „Co jakiś czas, w jakimś kraju, jakiś dyrektor teatru zostaje wyrzucony ze względu na przykład politycznych, gdyż nie odpowiada ideowemu kierunkowi mecenasa. Nie ma w tym nic dziwnego, bo przecież władze które wydatkują na utrzymanie teatru niemałe sumy, mają prawo do takiego manewru personalnego, jaki uznają za stosowny” — powiedział aktor G. G. Holoubek w wywiadzie dla „Gazety Robotniczej”.

• „Dzisiejsze czasy określiłbym jako ewolucję grajdołów. Na przykład na plaży w Jastarni ludzie budują swoje grajdoły o wiele staranniej niż 20 lat temu. Nie są to już szarobliwie pojęte grajdoły ale całe domostwa, szczerze zatkane kijami i szmata. Prawie można się w nich osiedlić. I małżeństwo nie jest dziś spokojną liryczną parą, tylko ednostka bojowa” — oświadczyła w rozmowie z „Kurierem Podlaskim” pisarka Agnieszka Osiecka.

Po takiej lekturze dochodzą do wniosku, że największym wzięciem cieszyłby się o nas tygodnik pt. „POLFORUM”. Może choć stronę takiego „POLFORUM” zafundowałaby (na początek) swym czytelnikom „Kamena”? Przedruków utworów poetyckich też być nie wykluczał. Niedawno tygod-

nik „Fakty”, ukazujący się w Bydgoszczy, opublikował relację z dyskusji na temat tygodników społeczno-kulturalnych. Wit Jaworski (nie, żaden kuzyn, choć się znamy i lubimy; redaktor naczelny miesięcznika „Pismo” w Krakowie) powiedział m. in. tak: „Chciałbym zwrócić uwagę na odpowiedzialność redakcyjną. Promuje się wiersze młodego człowieka, który się potem nie przebieje, a który poprzez fakt promowania uzna siebie za literata i będzie nieszczęście. Krytyka tak stopiła narzędzie, że nie wie, co to jest bezwzględność w tej chwili. »Kultura« na przykład drukuje wiersze, które w całości kwalifikowałyby się do »Żywotnika Literackiego«. Do czego zmierzam — promuje się zjawiska literackie wszelkich odcieni nie tylko w związkach twórczych, ale przez redakcje. Redakcje były zawsze naturalnym czynnikiem nie tylko promowania, ale programowania więzi pokoleniowych i innych i dlatego uważam, że powołanie pisma wokół Związku Literatów Polskich nie by nie dało”.

Osobiście nie jestem przeciwko powoływaniu nowych tytułów, ale przedtem umocniłbym i kadrowo i finansowo te, które istnieją. Tadeusz Sliwiak, związany z „Życiem Literackim”, słusznie zauważył w toku wspomnianej dyskusji, że „walka o czytelnika stała się poważnym problemem dla wielu redakcji”. (Chyba dlatego też „Życie Literackie” drukuje w odcinkach trzecią część „Powrotu do Edenu” — przy okazji reklama, bo nie potrafię odwdziżyć się „Życiu” kamieniem!). Ewa Starosta (z „Faktów”) dodała: „Utrzymuje się paradoksalna sytuacja, bo rozlicza się redakcje — również tygodniki społeczno-kulturalne — za nakład. Liczy się ilość zwrotów, mówi, że pismo się nie sprzedaje itp. A chyba nie jest rzeczą trudną zrobić pismo wielonakładowe. Recepta jest prosta. Wiadomo, co ludzie chcieliby czytać. Będzie to „Express Wieczorny” czy coś w tym stylu, tylko w wydaniu tygodniowym...”

Recepta jest tylko pozornie prosta. Cytowany już przeze mnie tygodnik „Sprawy i Ludzie”, ciekawie redagowany, ma 50 tysięcy nakładu, jego cena wzrosła w br. z 20 do 30 zł. Koszt jednego egzemplarza — jak pisze zespół pisma w n-rze pierwszym z br. — kształtował się teraz będą następująco: 9,02 zł — papier, 5,36 zł — druk, 8,10 zł — marża 27-proc. (marża pobierana przez „Ruch” za kolportaż), 7,44 zł — koszty osobowe, 3,90 zł — pozostałe. Razem czyni to 33,82 zł. Wynika z tego, że realne koszty (przy podwyższonej do 30 zł cenie za egzemplarz) przekraczają cenę jednego egzemplarza pisma. Różnica będzie uzyskiwana w ramach Wrocławskiego Wydawnictwa Prasowego.

Tak dokładnej kalkulacji nigdzie nie spotkałem, a przecież łatwo już obliczyć, że wrocławskie wydawnictwo dopłaci rocznie do tego tygodnika 9 932 000 zł i to pod warunkiem, że wszystkie egzemplarze znajdą nabywców!

Oczywiście Wrocławskie Wydawnictwo Prasowe może dopłacić do „Spraw i Ludzi” tylko dlatego, że zarabia na innych tytułach, które zamieszczają... ogłoszenia. Gdyby nie ogłoszenia, to niejedynemu dziennik trzeba by też dofinansowywać!

Od następnego numeru, o czym informujemy osobno, droższe o 5 zł i „Kamena”. Mimo tego, podobnie jak w wypadku tygodnika „Sprawy i Ludzie”, Lubelskie Wydawnictwo Prasowe na naszym piśmie nadal nie tylko nie zarobi, ale będzie musiało doń dopłacić. Dyrektor Wiesław Wróbel umie liczyć i ma podstawy obawiać się, że w wypadku przekształcenia „Kamena” w

RODZINIE Henryka Wiedry

kierownika Biura Ogłoszeń Lubelskiego Wydawnictwa Prasowego, który zmarł nagle 9 stycznia br., wyrazi głębokie współczucie

zespół „Kamena”

tygodnik jej deficyt nie tylko się nie zmniejszy, ale i powiększy...

Reforma ma swoje prawa, ale trzeba przyjąć za fakt oczywisty, że są pisma, na których można zarobić, i to sporo, a są i takie, do których trzeba dopłacić. Oczywiście dzięki krzyżówkom, horoskopom, goliźnie etc. można i zwiększyć nakład i zmniejszyć zwroty, ale i tym zabiegom jakieś granice trzeba nakreślić! Docinki niektórych kolegów zatrudnionych w dziennikach w rodzaju: „My do was dopłacamy” nie mają żadnego sensu, bo gdyby dziennikom zabrać ogłoszenia zobaczylibyśmy nagą rzeczywistość i poróżniali się inaczej. A dodam, że przeważnie przypadek decyduje o tym, czy ktoś pracuje w piśmie dochodowym czy też deficytowym.

„Kamena”

— 20 zł

Od najbliższego, trzeciego numeru „Kamena” cena jednego egzemplarza naszego pisma wzrośnie o 5 zł, a więc dwutygodnik będzie kosztować nie 15 zł ale 20 zł. Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch”, które tę decyzję podjęło, motywuje to wzrostem ec... za wszystkie elementy procesu wydawniczo-drukarsko-kolportażowego. (Uwaga: kto opłacił z góry prenumeratę, otrzymuje „Kamena” po dotychczasowej cenie!)

O podwyżce pisze również szczegółowiej M. A. Jaworski w „notatniku”.

(Red.)

My w „Kamena” wcale nie bronimy się przed ogłoszeniami, ale zdajemy sobie sprawę, że w Lublinie wychodzą dwa pisma codzienne, w których — z uwagi chociażby na ich nakład — wydrukowana oferta przyniesie większy oddźwięk. Poza tym do dziś nie zwrócono nam zabranych przed kilkoma laty czterech stron, a więc gdzie te ogłoszenia mielibyśmy zamieszczać? Dodam w tym miejscu, że już wszystkie tygodniki regionalne (Chełm, Biała Podlaska, Zamość) ukazują się na stronach szesnastu. Kończąca w tym roku 54 lata „Kamena” ciągle jest traktowana jak Kopciuszek, chociaż ponoć nikomu dobrych chęci nie brakuje. Ale dobrymi chęciami jest chyba nie tylko Piekło, ale i Niebo wybrukowane!

16 I. Kupilem w lubelskim sklepie mrożone truskawki. W środku karteczka: „Przedsiębiorstwo Przemysłu Chłodniczego w Toruniu. Chłodnia w Bydgoszczy”. Są to, być może, truskawki-wędrowniczki, które spod Puław trafiły do Lublina via Toruń. Oczywiście, nie wykluczam, że truskawki te wyrosły na Pomorzu. My jemy pomorskie, a toruniacy — puławskie. Samochody i wagony-chłodnie dzięki temu nie stoją bezczynnie!

17 I. W dzisiejszym Magazynie Tygodniowym „Sztandar Ludu” na ostatniej stronie rubryczka pt. „Plotkarnia lubelska”. Czytam: „Ludzie mówią, że zacieśnia się i umacnia wymiana kulturalna pomiędzy Lublinem a Warszawą. I to widać. My w ostatnich latach oddaliśmy warszawskim scenom Ignacego Gogolewskiego i Romana Kruczkowskiego, a teraz oddajemy warszawskiej „Scenie” Lidie Wójcik. Warszawa w zamian podała nam ostatnio Ryszardę Hanin, Jerzego Kamasa i Henryka Talara. Nie wiemy jak Warszawa, ale my piszemy się na dalszą taką wymianę”.

W tejże samej rubryczce znajdują takie dawelpane (boki srywań) odkrycie: „Czytelnik pisze do „Sztandaru, że w Białej Podlaskiej fryzjer bierze 70 zł od głowy. w Parczewie — 100 zł, a we Włodawie — 120 zł i pvt. dlaczego tak się dzieje. Odpowiadamy: dlatego, że we Włodawie fryzjerzy mają pod włos”.

Po lekturze „Plotkarni lubelskiej” chętnie oddałbym (gdybym mógł!) trochę z redakcji warszawskiej Zbigniewa Miazgi, redaktora „Magazynu”. Nie marzyłbym o podaniu w zamian przez stolicę Janusza Atlasa, bo „Sztandar” sam ma u siebie i młodych, i zdolnych i gwałtownych. Przeważnie jednak w spódnicach...

M. A. Jaworski

PS. Mocno musiał śnieg smagnąć brzozi Czechoł! List z Ostrowy nadany 17 grudnia (data na stemplu) trafił do moich rąk w Lublinie 18 stycznia dopiero przebywał więc trochę więcej czasu niżgdyś 18 km. Przy okazji informuję, że o tym pokrycie na Olzą będą jeszcze pisał, ale za dwa tygodnie, moich tekstów w tym zakresie już wystarczy...

— Jest pan doskonałym znawcą historii Lublina, swojego rodzinnego instytucją w tej dziedzinie. Przez wiele lat pełnił pan funkcję wojewódzkiego konserwatora zabytków, był pan także min. zastępcą dyrektora do spraw naukowo-konserwatorskich oddziału PKZ w Lublinie. Zaany bibliofil, autor licznych publikacji i opracowań historycznych, świetny gawędziarz radiowy, szerokiemi gronami czytelników jest pan przecież znany przede wszystkim jako autor książki „O dawnym Lublinie”, która doczekała się już drugiego wydania. Skąd to zainteresowanie historią Lublina — i zresztą nie tylko Lublina — u człowieka, który studiował nauki ścisłe, posiada dyplom inżyniera? Na ile rzutował na pańskie zainteresowania fakt, iż rodzina Gawareckich od pokoleń związana jest z Lublinem, z jego życiem kulturalnym?

— No, trochę pan przesadził z tą obecnością „od pokoleń” naszej rodziny na gruncie lubelskim. De facto tkwimy tutaj dopiero od niespełna siedemdziesięciu lat, a nasze pojawienie się w Lublinie było właściwie dziełem przypadku. Rodzina mojego ojca wywodzi się z ziemi wyszogrodzkiej, województwa płockiego, rodzina matki z Grodna.

— To jak trafił Gawarecycy do miasta nad Byszczycą?

— Prosto... z miasta nad Wołgą, miasta, które niegdyś nazywało się Twer, a dzisiaj — Kalinin. Otóż trzeba panu wiedzieć, że mój ojciec, Feliks Gawarecki, po ukończeniu Instytutu Mierniczego w Moskwie w 1906 roku i otrzymaniu dyplomu inżyniera geodety musiał — jako stypendysta — odpracować owe stypendium, co było związane z wyjazdem w głąb Rosji, gdzie potrzebowano fachowców. Wraz z żoną, absolwentką gimnazjum w Grodnie, Kazimierą z Trojanowskich, a moją matką (później skończyła studia historyczne), osiedlili się w Twerze, mieście gubernialnym. I tam też ja przyszedłem na świat 15 stycznia 1912 r. Ojciec piastował odpowiedzialne stanowisko — pomocnika geodety gubernialnego; tak to brzmi w dokładnym przekładzie na język polski. Mieszkaliśmy w obszernym drewnianym domu przy ulicy Siemionowskiej, zajmując całe pierwsze piętro. Twer był zabudowany, poza ścisłym śródmieściem, głównie domami drewnianymi. Kanalizacja nie istniała. Pamiętam dobrze z dzieciństwa, że podczas ulewy woda szorowała groźnym, huczącym strumieniem przez całą szerokość naszej ulicy. W czasie II wojny światowej tamten stary Twer, późniejszy Kalinin został całkowicie zniszczony, i teraz, po odbudowaniu, jest to już zupełnie inne miasto.

— Rodzice tęsknili za Polską?

— Oczywiście. Ale nie czuli się od polskości odizolowani. W Twerze mieszkało bardzo dużo Polaków; kwitło



Twer, 1916 r. Henryk Gawarecki w wieku 4 lat, ze starszą siostrą Ireną. Zdjęcie wykonane w zakładzie fotograficznym A. Gierowca

Red. Zbigniew Jaskiewicz

życie towarzyskie, działalność kulturalno-społeczna. Nawiasem mówiąc, w głębi Rosji — naczej niż w Kongresówce — Polakom działało się dobrze, byli szanowani i doceniani jako pracownicy, szybko robili kariery. Był w Twerze nawet kościół katolicki, do którego chodziliśmy na nabożeństwa; były tam zresztą — obok licznych cerkwi — także mahometański meczet i protestancka kircha.

— W pewnym momencie przyszła Rewolucja Październikowa, narodziła się Polska niepodległa; Polacy zaczęli tłumnie wracać z Rosji do kraju. Rodzina Gawareckich także?

— Tak. Kiedy w roku 1921 otworzyła się już możliwość powrotu do Polski, ojciec zdecydował się wyruszyć na zachód, nad Wisłę. Ale dokąd jechać? Gdzie się osiedlić? Początkowo mieliśmy kierować się do Pomiechówka pod Wafszawą, gdzie brat ojca, ksiądz Teofil Gawarecki, był proboszczem. Ale podróż repatrianckim eszelonem ciągnęła się nieprawdopodobnie długo. I w końcu do Pomiechówka nie dotarliśmy, bo na którymś z postojów otrzymaliśmy wiadomość, że ksiądz Teofil zmarł niedawno na zapalenie płuc. Na szczęście ojciec miał jeszcze jednego brata, młodszego od siebie, mierniczego Jana Gawareckiego, który od kilku już lat mieszkał w Lublinie, ożeniwszy się z tu-tejszą obywatelką, Stanisławą Miller. Tak więc pewnego dnia zjawiliśmy się całą czwórką — ojciec, matka, ja i

Konrada Bielskiego, Wacława Gralewskiego, Józefa Czechowicza — i współtowarzysz ich twórczych i wydawniczych poczyni. Następnym mieszkaniem, już samodzielnym, był lokal w domu przy ul. 3-go Maja. Tam z kolei to my mieliśmy sublokatora, niejakiego pana Ignacego Jaworowskiego. Był on rodzonym bratem dra Aleksandra Jaworowskiego, człowieka, który tak wielkie położył zasługi dla lubelskiej Biblioteki im. Hieronima Lopacińskiego...

— Tej właśnie biblioteki, z którą związane było następnie przez kilkadziesiąt lat życie pańskiej rodziny, a ściślej: pań Gawareckich.

— I jest z nią związane nadal. Poprzez pracę tam mojej córki. Ale Biblioteka im. Lopacińskiego to dla mojej rodziny dopiero rok 1924, gdy zaczęła tam pracować moja matka, Kazimiera Gawarecka. Zaś dla mnie samego znaczącą datą jest rok 1923. Zaczęłam wówczas uczęszczać do gimnazjum humanistycznego im. Stanisława Staszica. Przez siedem lat siedziałam w jednej ławce ze Stefanem Ziemińskim, ale nie — lubelskim dziennikarzem o tym samym imieniu i nazwisku, tylko późniejszym znanym gleboznawcą, profesorem i rektorem Wyższej Szkoły Rolniczej. Z tamtego okresu nauki wyniosłam jak najlepsze wspomnienia. A to głównie dzięki wspaniałemu zespołowi nauczycielskiemu, ludziom, którzy potrafili nie tylko dobrze nas uczyć, ale także rozbudzać nasze zainteresowania.

„nie zaznawały spokoju”. Aż się ojciec zaczął poważnie niepokoić, co to będzie ze studiami. No, a jeszcze pojawiła się w moim życiu pewna młoda pan-na...

— Także entuzjastka tańca?

— Oczywiście. Ale zbliżyły nas przede wszystkim lekcje języka włoskiego, na które uczęszczałszy, będąc oboje członkami Istituto Culturale di Varsavia. Moja późniejsza żona, Maria Pożaryska, córka dziekana Wydziału Elektrycznego Politechniki Warszawskiej, prof. Mieczysława Pożaryskiego, była historykiem, a także absolwentką Wyższej Szkoły Nauk Politycznych; robiła doktorat z jednego z konkordatów włosko-polskich, stąd jej szczególne zainteresowania językiem włoskim i Italią, w której zresztą przebywała przez dwa lata, zbierając potrzebne do swoich studiów materiały. W roku 1938 pobraliśmy się. W 1939 r. przyszła na świat nasza córka, Ewa. Ewa skończyła studia z biologii na UMCS-ie. Ale — jako trzecie już pokolenie po mojej matce i żonie — związała się z Biblioteką im. Lopacińskiego. Matka, Kazimiera Gawarecka pracowała w bibliotece od roku 1924 po lata sześćdziesiąte (oczywiście, z przerwą okupacyjną). Żona, Maria Gawarecka z Pożaryskich — od 1951 roku do 1977 r. A Ewa Gawarecka pracuje od r. 1967: już dziewiętnaście lat...

— W sumie rodzina Gawareckich związana jest z Biblioteką im. Hieronima Lopacińskiego sześćdziesiąt dwa la-

Lubelskie sylwetki



Fot. Zbigniew Jaśkiewicz

Między sztuką a historią

Rozmowa z Henrykiem Gawareckim

starsza ode mnie o pięć lat siostra Irena — niespodziewanie dla stryja i... dla nas samych w Lublinie. Ojciec szybko znalazł pracę w swoim zawodzie...

— Wynajął mieszkanie...

— O, nie, proszę pana! Wówczas, w 1921 r., z mieszkaniem w Lublinie było równie trudno jak dzisiaj. Zainstalowaliśmy się prowizorycznie u stryja Jana. Posiadał on lokum w tak zwanym domu Semadeniego, na rogu Krakowskiego Przedmieścia i ulicy Staszica. Dla mnie jako chłopca był to punkt niezwykle interesujący: na parterze budynku mieściła się słynna cukiernia Semadeniego, na pierwszym piętrze były bilardy... Panował tam ruch, przychodziło mnóstwo ludzi, było się czemu przyglądać. Nawiasem mówiąc, właścicielem cukierni był już wówczas nie Semadeni, ale Ignacy Domański.

— Oho, zaczynamy wracać w atmosferę pańskiej książki „O dawnym Lublinie”!

— Hm, do książki i do moich późniejszych zainteresowań i lubelskich fascynacji było jeszcze bardzo, bardzo daleko. Ale coś w tym, co pan mówi, na pewno jest: znalazłem się oto jako dziewięcioletni chłopiec w samym centrum Lublina, w rejonie, gdzie koncentrowała się spora część jego życia handlowego, rozrywkowego, towarzyskiego; obserwowałem z ciekawością to, co się wokół działo, i zapamiętywałem.

— Poznawał pan także ludzi, którzy wyróżniali się w ówczesnym życiu Lublina?

— Bez wątplenia. Ale ze względu na mój wiek odbywało się to w sposób raczej przypadkowy. Choćby przy zmianie mieszkania.

— ?

— Na przykład po wyprowadzeniu się od stryja Jana Gawareckiego zamieszkaliśmy w pokoju wchodzącym w skład obszernego mieszkania, należącego do znanej lubelskiej lekarki, dr Jadwigi Bobrowskiej. Mieściło się ono na pierwszym piętrze kamienicy przy ul. Narutowicza pod numerem 19. Starszy sporo ode mnie syn pani Jadwigi, Czesław, to późniejszy wybitny polski ekonomista, profesor Czesław Bobrowski; w młodzieńczych latach także przecież literat, przyjaciel lubelskich „młodych gniewnych” —

— A co pana najbardziej w szkole interesowało, historia?

— Zdziwił się pan: literatura francuska! Mieliśmy doskonałego nauczyciela języka francuskiego. Dr Ludwik Zengteler (w swoich dawnych krakowskich czasach zagorzały wielbiciel i stały bywalec Zielonego Balonika, o czym dowiedziałem się dopiero po wielu latach), nauczył mnie miłości do Verlaine'a, Villona; potrafiłem recytować ich poezję całymi stronicami... Rozbudzał w nas także ciekawość Francji, Paryża. Na przykład lubiłem bardzo taką zabawę, kiedy to dr Zengteler przynosił do klasy wielki plan Paryża, wieszal go na tablicy, a potem wyrzywał któregoś z uczniów, kazał mu stawać plecami do mapy i mówić z pamięci, jak należy iść na przykład z Champs Elysees na Plac Republiki. A tymczasem klasa śledziła na planie, czy „delikwent” się nie myli. W tamtych też latach stałem się codziennym gościem Biblioteki im. Lopacińskiego. Nie dlatego akurat, że pracowała tam moja matka. Ale stąd, że mogłem korzystać do woli (oczywiście, obecność matki ułatwiała mi dostęp do księgozbioru) z bogatych bibliotecznych zasobów, z wielu ciekawych i mało dostępnych pozycji z literatury francuskiej w oryginale i w tłumaczeniach... Tak, pociągała mnie romanistyka. Ale kiedy doszedłem do matury, był to rok 1930, ojciec, widząc, że nie stronię także od matematyki, geometrii i w ogóle nauk ścisłych, przekonał mnie, że powinieniem zapisać się na Wydział Inżynierii Politechniki Warszawskiej. Studia inżynierskie należały niejako do tradycji rodzinnej.

— Wciąż nie widzę w pańskiej opowieści zainteresowań historią, architekturą, sztuką...

— Zaraz będą. Ale najpierw był Wydział Inżynierii Wodnej. Ze specjalnością budownictwo wodne; to znaczy kanały, śluzy itp. Po czterech latach studiowania udało mi się zrobić tzw. półdyplom. Nie bez powodu wspominałem o tych aż czterech latach... Otóż z czasem moje zainteresowania inżynierią zaczęły oscylować ku architekturze. Wybrawszy się z wycieczką architektów w podróż do Włoch oraz na Węgry i do Jugosławii, nabrałem zainteresowania historią sztuki. Zaczęłam uczęszczać na wykłady z architektury i historii sztuki... A poza tym był inny powód, że moje studia przedłużały się. Poznałem jeszcze jedną „dziedziczkę sztuki”, której dotąd jakoś nie uprawiałem; ta nie c to warty skłoty. W karnawale frańki i smoking były dla mnie teraz strojami, które

ta. Grubo ponad pół wieku! A co z panem? Po okupacji, podobnie jak ojciec, sprowadził pan rodzinę, to znaczy żonę i córkę, do Lublina.

— Właśnie. Lata okupacji to ciągle zmiany jednej pracy na drugą, stała niepewność. Konkretnie zajęcie, rozpoczynające całą nową epokę w moim życiu, to dopiero praca (od 1 marca 1945 r.) w Inspekcji Budowlanej Zarządu Miejskiego w Lublinie. Dużo zawdzięczam z tamtego okresu ówczesnemu mojemu szefowi, architektowi Ignacemu Kędzierskiemu, który mnie wprowadzał w zagadnienia, problemy i tajniki, leżącego wówczas w gruzach, Lublina. I robił to tak dobrze, że gdy w 1949 r. otworzyła się możliwość pracy na stanowisku wojewódzkiego konserwatora zabytków, zgłosiłem swoją kandydaturę w Ministerstwie Kultury i Sztuki. I moje podanie zostało przyjęte. Przepracowałem na owym stanowisku kilkanaście lat.

— Jako jeden z najdłużej piastujących te funkcje w Lublinie...

— No i konserwator pracujący w szczególnych — przynajmniej w pierwszym okresie — pookupacyjnych warunkach. Kiedy objąłem swoją funkcję, archiwum konserwatorskie było skromne i rozproszone. Stąd konieczność zajęcia się spisem istniejących zabytków i uzupełnieniami, uwzględniającymi nowe o nich wiadomości. Stąd także wynikała potrzeba podjęcia przede mną bardzo obszernych, specjalistycznych studiów oraz pogłębienia znajomości szeroko pojętej literatury przedmiotu.

— Z tamtych studiów zrodziły się podstawy do późniejszych publikacji i do książki „O dawnym Lublinie”. Ale chciałbym jeszcze przypomnieć, że przed objęciem urzędu konserwatorskiego, od 1947 r., był pan wykładowcą historii sztuki na KUL w zakresie ochrony zabytków, muzealnictwa i rysunku pomiarowego; aż po lata pięćdziesiąte.

— Tak. Tylko, że później nie bardzo mogłem te dwa zajęcia pogodzić. To znaczy, ja mogłem, ale...

— Rozumiem. Nic tu dodać nie ująć. A co do urzędu konserwatora wojewódzkiego, to w pewnym momencie odszedł pan z tego stanowiska, i — ile mi wiadomo — został pan do tego po prostu zmuszony.

— Nie podobało się wtedy niektórym ludziom w województwie, że zbyt wiele środków — jak uważali — przeznaczam na odbudowę pałaców, dworów i

kościółków. A przecież te obiekty również zasługiwały — ze względu na stan, w jakim się znajdowały — na szczególną troskę. I co więcej, te przeznaczane przeze mnie środki stanowiły tylko niewielką część wydatków z sum, jakimi dysponowałem! Kiedy trafiła się propozycja przejścia na stanowisko kierownika pracowni Wojewódzkiego Biura Projektów Budownictwa Wiejskiego w Lublinie, chętnie z niej skorzystałem. Zdawałem sobie sprawę z faktu, że na tym stanowisku nie stracę kontaktu z obiektami zabytkowymi. Potem była praca projektanta w lubelskim „Miastoprojekcie”; a ostatnia — w Pracowni Konserwacji Zabytków, jako zastępca dyrektora do spraw naukowo-konserwatorskich. Aż do przejścia na emeryturę w 1978 r.

— Jest pan bibliofilem, obecnie prezesem Lubelskiego Towarzystwa Miłośników Książki, jest pan pisarzem, historykiem, inżynierem, konserwatorem zabytków...

— Co ja do tego jeszcze mogę dodać? Tak właśnie się moje życie ułożyło. Przez całe życie zawodowe znajdowałem się „w orbicie” zabytków. W miarę możliwości dbałem o nie, zabezpieczałem, ratowałem przed zagładą. A także pisałem o nich, mówiłem w radiu w pogadankach „Opowieści o zabytkach”, przede wszystkim o zabytkach Lubelszczyzny. Bibliografia moich prac i publikacji sięga ponad 200 pozycji. Żeby zdobyć wiadomości, którymi się później dzieliłem z czytelnikami, czy ze słuchaczami, trzeba było wielu poszukiwań, wiele czasu. Zdarzało mi się otwierać drzwi już otwarte, ale także ustalać fakty, jakie nie były jeszcze dotąd znane. Dawało mi to dużo satysfakcji osobistej. I także przyczyniło się do powstania obszernego księgozbioru Lublinianów. Znajdują się w nim takie pozycje, jakich nie spotka się nawet w najbogatszej z naszych bibliotek regionalnych, nieocenionej Bibliotece im. Lopacińskiego.

— Co pana zdaniem jest sprawą najważniejszą w zawodzie oraz na stanowisku konserwatora zabytków? I także w pracy historyka?

— Myślę, że chyba rzeczowość, chłodna ocena faktów i sytuacji oraz autentyczna fascynacja sztuką i historią.

Rozmawiał: Mirosław Derecki

Polska partia

W POCZĄTKACH stycznia miały 45 rocznica powstania Polskiej Partii Robotniczej, upamiętniona licznymi uroczystościami i wystawami, wśród których w naszym regionie zwracała szczególną uwagę ekspozycja pt. „PPR na Lubelszczyźnie”, otwarta w Muzeum Historii Ruchu Robotniczego. Opublikowano też wiele okolicznościowych artykułów, szkicujących sześćdziesięcioletnią historię PPR na sposób monograficzny: od stycznia 1942 do grudnia 1948 roku, kiedy to ze zjednoczenia tej partii z PPS-em powstała PZPR. Za najwartościowszy należy przy tym uznać tekst „Partia czynu”, który Antoni Czubiński ogłosił w „Kulturze” (nr 1). Oto jeden z głównych wniosków autora, zbudowany z niemożliwych do zakwestionowania, wręcz wymiernych faktów:

„Trudno sobie wyobrazić odrodzoną po wojnie Polskę w innym kształcie niż ten, który nadal jej przywódcy PPR. Rezygnując z ziem wschodnich, uzyskali oni wsparcie ZSRR dla polskich roszczeń terytorialnych wobec pokonanych Niemców. W sumie Polska straciła w tej wojnie około 77 tys. km kw. Tymczasem polityka przeciwników PPR prowadziła do tego, że Polska mogła utracić około połowę obszaru z okresu międzywojennego. Ich upór w sprawie granicy ryskiej nie miałby praktycznie żadnego znaczenia, ponieważ decydujące o powojennych granicach w Europie mocarstwa od dawna odrzucały granicę ryską i jednoznacznie popierały stanowisko ZSRR w tej kwestii. Nie były one też skłonne do zbytniego przesuwania granicy polskiej na zachód. Gdyby granicę odradzaną po wojnie Polski ustalono w porozumieniu z rządem emigracyjnym, wówczas Polska utraciłaby Kresy Wschodnie i nie odzyskałaby tak dużego obszaru na północy i zachodzie. Tylko dalekowszostna polityka PPR w sprawie sojuszu z ZSRR zapewniła Polsce wyjście obronną ręką z tej wojny”.

W zakończeniu tego wywodu Czubiński stwierdza: „Jest to prawda słownikowo słabe spopularyzowana w społeczeństwie polskim”.

No cóż, postrzeganie historii w kategoriach politycznych, jako międzypaństwowej, twardej gry interesów, nie trafia jakoś do przekonania naszego społeczeństwa. Owszem, pomijając atencjonalne grupy „nieugiętych w amoku”, ogół Polaków uważa obecny kształt terytorialny kraju za coś oczywistego, nie trudząc się jednak analizowaniem mechanizmów dziejowych, które wykreowały istniejący stan rzeczy. Poważny problem upraszcza się nieraz do stwierdzenia, utrzymanym w poetyce mądrości „starego górala”, że jak się komuś coś zabrało, to należy mu dać coś w zamian, najlepiej z nawiasem. Biegli w „retoryce” głoszą z kolei, że mocarstwa zachodnie „sprzedały” Polaków w Białą i Poczdamie, przywiązując nas do „czerwonych” — jakbyśmy wcześniej byli własnością Zachodu. Równocześnie tu i ówdzie gloryfikuje się II Rzeczypospolitą, na przykład na Powązkach, dokąd zwozi się celowo zorganizowane grupy młodzieży, by przykładać jej w słowach do ostatnim „prawdziwym” marszałkiem Polski był Rydz-Śmigły — nie wspominając zapewne o wotum nieufności, jakim wracającego z rumuńskiej służby wodza przyjął Związek Walki Zbrojnej, którego kadra stanowił w większości był jego podkomendał.

Ogół Polaków uważa obecny kształt terytorialny kraju za coś oczywistego, a na pewno nie przyjmuje pod rozwagę hipotetycznej alternatywy w postaci Rzeczypospolitej okrojonej do obszaru między Bugiem a Wartą w okolicach Poznania, bez Opolszczyzny, Warmii i Mazur, bez Gdańska, Szczecina i Wrocławia. Mentalność taką ukształtowały różne okoliczności, wśród których niebagatelne chyba znaczenie miał fakt, że wykład na temat genezy Polskiej Ludowej, kierowany do masowego audytorium, był nader uproszczony, sprowadzony do schematu: białe — czarne, bez tonów pośrednich, kryjących wszak często najbardziej dramatyczne fragmenty historii i rzeczywistości wartości opiew politycznych. Ta ostrożność traciła paradoksem, albowiem właśnie w rzetelnych kronikach tamtego czasu znajdujemy potwierdzenie mądrego realizmu Polskiej Partii Robotniczej, która już w początkach swej działalności sformułowała uniwersalną i sugestywną koncepcję budowy demokratycznego frontu narodowego do walki z okupantem, w sojuszu ze Związkiem Radzieckim, w swej myśli politycznej i społeczno-ekonomicznej ciągle posługując się kategoriami narodu i państwa. Przypomnijmy, że już w 1943 roku na łamach „Trybuny Wolności”, będącej organem KC PPR, stwierdzono jednoznacznie, iż „państwo musi być własnością narodu”. Dwa lata później kierownictwo partii z Gomułka na czele poddało zdecydowanej krytyce sekiarskie próby traktowania „polityki frontu narodowego jako taktycznej, a nie strategicznej linii działania” PPR. Na jednym z plenów 1945 roku Gomułka powiedział — mając na uwadze sojusz PPR, PPS, SL, SD — że „demokratyczny front narodowy nie jest pomysłem tylko na okres wojny, a na długi okres historyczny”. Z tą tezę korespondowało pośrednio inne ważne stwierdzenie sekretarza PPR, zawarte w przemówieniu z 30 listopada 1946, a dotyczące pojęcia „demokracja ludowa”: „Nie jesteśmy krajem o typowym ustroju kapitalistycznym, gdyż podstawowe gałęzie produkcji przemysłowej oraz banki i transport zostały unarodowione. Nie jesteśmy krajem o ustroju socjalistycznym, gdyż nieuspołeczniony sektor produkcji zajmuje bardzo poważne miejsce w naszej gospodarce narodowej”.

Jak zauważył Jerzy Boruń: „Państwa demokracji ludowej nie utożsamiano z państwem dyktatury proletariatu, aczkolwiek konsekwentnie wskazywano na socjalistyczną perspektywę rozwoju kraju. (...) Zadaniem partii było, w myśl uchwał Zjazdu, pobudzenie tendencji rozwojowej w kierunku socjalizmu i hamowanie tendencji prokapitalistycznych”.

Ta „polska droga do socjalizmu” została zablokowana w drugiej połowie 1948 roku, kiedy kierownictwo PPR znalazło się pod wpływem grupy o orientacji dogmatycznej, która odrzuciła model państwa między „radzieckim kolektywizmem” a „angielskim indywidualizmem”. Warto jednak podkreślić i raz jeszcze przypomnieć to, o czym wszyscy wiemy: że koncepcja „trzeciej drogi”, oparta na głębokiej znajomości polskiej specyfiki narodowej i społeczno-gospodarczej, straciła swą polityczną aktualność na zaledwie kilka lat. Można ją zatem uznać za fakt trwały i wyróżniający się w dorobku PPR, wypracowany pod kierunkiem Władysława Gomułka.

Największym wszak osiągnięciem politycznym PPR, rozpatrywanym w kontekście fundamentalnych interesów narodowych, był powrót Polski na Ziemię Zachodnią i Północną. Truizmem traci stwierdzenie, że i na tej drodze przyszło nam pokonać ogromne trudności natury politycznej, ekonomicznej i technicznej.

Wspomnijmy więc tylko o sprawie incydentalnej, w dobrych intencjach pomijanej dziś w publicystyce, acz chyba niepotrzebnie.

Otóż w 1946 roku nawet Niemiecka Socjalistyczna Partia Jedności szła do wyborów (w radzieckiej strefie okupacyjnej) pod hasłem „granica na Odrze i Nysie nie jest naszą granicą”. Z tym stanowiskiem ostro polemizowała prasa niemiecka: 30 października na łamach „Głosu Ludu” sam Gomułka opublikował artykuł pod znamienym tytułem: „Granica polska na Odrze i Nysie Łużyckiej jest nienaruszalna. Władcy Flackow w odpowiedzi”. Znacznie poważniejsze kontrowersje wystąpiły w stosunkach z Czechosłowacją, zgłaszającą pretensje do części Śląska Opolskiego i Dolnego, co zdaniem cytowanego wyżej badacza, było „właściwie próbą rewizji ustaleń poczdamskich w kwestii granic Polski”. Strony tych sporów doszły przecież do porozumienia, nie bez mediacji Związku Radzieckiego.

Były to jednak, jak się rzekło, incydenty sprawy zupełnie nieporównywalne z gwałtowną próbą zakwestionowania ostatecznego charakteru polskich granic zachodnich, jaką w końcu 1946 roku podjęły mocarstwa anglosaskie, z którymi polityka nasza wiązała dotąd pewne sojusznicze nadzieje...

KULIG

Marta Denys

PORANNA zamieć nie zachęcała do wyjścia z domu. Wiatr pędził kłęby śniegu, podbierając je nie z chmur, a z zasp, które nocą rozwłóczył po mieście. Ale około 16-tej biała kurzawa uleciała.

Od strony wai jedne po drugich nadjeżdżały zaczęły sanie. Dzyndolity pojedyncze dzwonki, a konie coraz to wstrząsały łbami, nie nawykłe do biułowatej sieczki zatkniętej za kantary. W jakim takim porządku ustawiły się na płaskim poboczu szosy. Wnet gospodarze zadali im siano i okryli derkami.

— Licho wie, ile przyjdzie czekać na tych z miasta — powątpiewali niektórzy. Ale mieszczyki, wysypywali się już małymi grupkami z trolejbusów, które ich na skraj miasta przywiozły. Już chcieli ładować się na sanie, lecz ich pan Piotrek w czerwonej czapeczce z pomponem powstrzymywał: — Czekajcie, aż się zbiorą wszyscy!

Do kompletu brakowało mu jeszcze głównej księgowej i dwóch kierowników działu. Jakże bez nich odejść? Pierwsi zapłacili za kulig, akceptując pomysł pana Piotra, by przejechać taką urzędzić.

— Integrujcie, integrujcie się — chwalił też inicjatywę dyrektor zakładu, podpisując zgodę na nyskę, co by im na ten zimowy piknik podrzuciła do lasu termosy i prowiant z zakładowej stołówki, a także podwoziła kapelę z pobliskiego GOK. Jak kulig, to kulig! Ale sam namówić się nie dał, mając na ten dzień inne, myśliwskie — jak się okazało — plany. — I bardzo dobrze — mruknął z ulgą pan Piotrek.

Z taksówki tymczasem wysiadła oczekiwana trójka.

— No, wiecie — chrypiła księgową — kto by pomyślał, że tak się nagle wypogodzi! Rano psa by nie wypędził...

— Dobra, dobra, śladaj pani, bo konie dostaną kataru — dopowiedział półgłosem któryś z gospodarzy, wbijając biczysko w śnieg.

Mościli się więc na ławkach i deskach, przerzuconych w poprzek śniegu, ci niedzielni kuligowicze, podgarniając do kolan słomę i okrywając się

derkami. Kto przezorny, zabrał koc ze sobą. Ten i ów stawał już kołnierzą, ślącąc czerwonym, jak czapeczka pana Piotra, nosem. Gospodarze zabili zamasyć rękoma pod pachy, jak na woźniców przystało, i cmokając na konie, ruszyli.

Przysadziste, spracowane gniodosze, przywykłe widać do najgorszych dróg, niespiesznie kłapały kopytami po zawirowanym, brudnym śniegu, jak to na skraju szosy. Płozy coraz to zgrzytały na grubszych kawałkach śniegu, wstrzymując na krótkie drgnienia bieg san. Kuligowicze uderzali się więc wzajem kolanami, chyląc ku sobie talowia.

— Zara będziem na równym — gospodarze biczyskami wskazywali na płat gładkiej bieli pod lasem. Także i po sforsowaniu pływkiego rowu konie wyszły na dobrą wreszcie sanie.

— Hajda, trojka! — ni to z fantazją, ni to z ironią zakrzyknął pan Janusz-inżynier, powstając z miejsca, lecz go szarpnięcie sań podcięło. Panie zapiszczały pod niespodziewanym cięciem, jaki spadł im na kolana.

— Masz pan swoją trójkę — ze śmiechem rzucił przez ramię gospodarz. — Może poprawimy?

— Pewnie, pewnie — ochoczo zawolala panna Krysią-rejestratorka z zakładowej przychodni, rozkładając szeroko ręce.

— Ta już jest gotowa — komentowano zdarzonko w sąsiednich saniach. Śmignęły baty, lekki kłus koni pobudził dzwonki, które miały się jak oszalałe. Droga przez pola była już nieco wyjeżdżona. Rano przeszedł tedy traktor do leśnictwa, a śnieg ledwo co pokrył ślady. Zresztą w tygodniu ciągnęli tu chłopci drzewo z lasu, więc było twardziej niż gdzie indziej. W sam raz na kulig.

Ktoś z ostatnich sań rzucił śniegową kulę. Trafiała w plecy panny Krysi. — Co za chamstwo — obruszyła się na tę niewinną zaczepkę.

— A wiecie, panie — perorował w drugich saniach od przodu pan Zygmunt do swoich sąsiadów — w dawnych czasach nie takie bywały kuligi...

— No, no, pan najdłużej pracował w zakładzie, to wie — przerwały domyślnie, ale zupełnie nie a propos, bo panu Zygmuntovi — emerytowanemu księgowemu nie pracownicy, a staropolskie kuligi były na myśli. Jął więc opowiadać, jak to się dawniej szlachta na kulig całymi rodzinami lub też wy-

Ekran i widz
Impresje sentymentalne

SPOŚRÓD licznych filmów, pokazanych w okresie świątecznym na małym ekranie, szczególną wartością dla miłośników historii kina odznaczyły się dwa „dokumenty”: polski — poświęcony Brigitte Bardot, oraz zachodniemiecki, zatytułowany „Marlena Dietrich — portret aktorki”. Ten drugi film był nie tylko doskonale zrealizowany, ale także idealnie trafiony repertuarowo przez polską TV. Właśnie następnego dnia po jego projekcji przypadała osiemdziesiąta piąta rocznica urodzin wielkiej artystki. Marlena nie wyraziła zgody na przedstawienie jej aktualnych zdjęć; zastrzegła sobie prawo do prywatności, a więc nie godzi się na to tym bardziej teraz, kiedy przestała już grać w filmie i także jej twarz stała się sprawą prywatną. Ale zapewne chodziło aktorce przede wszystkim — i całkiem słusznie! — o pozostanie w pamięci widzów taka, jaka jawiła się na ekranie wówczas, gdy jej fascynująca, niepowtarzalna uroda „kobiety fatalnej”, kobiety-wampa, wydawała się nieprzemijająca i niezniszczalna.

W latach trzydziestych niezwykle modny był wale Ivanovič'ego „Na falach Dunaju” ze słowami:

Na ustach karmin, w sercu żal,
Oczy zamglone patrzę w dal,
Niezwykle każdy ruch i gest —
To „X-27” jest.

„X-27” to był tytuł filmu Josefa von Sternberga, nakręconego w 1931 r., z Marleną Dietrich w tytułowej roli, która grała w nim postać luksusowej kobiety-szpiega, noszącej właśnie kryptonim X-27. Film cieszył się olbrzymim powodzeniem;

borną kompanią — proszę pań — zwolowała. Usuwano się w drodze futra i kiejnoty — tu kobitki popatrzyły na pana Zygmunta jak na wariata.

— Tak, tak — zaświadczał — albo w ludowe lub cygańskie stroje i takim, proszę ja was, korowodem pędzono saniami z dworu do dworu...

— E, to było tak dawno — przerwała któraś — nie ma co wspominać! Dzisiaj jest dzisiaj, a szlachta poszła fora ze dwora!

— Fora ze dwora — podchwyciła druga — ale dobre!

Pan Zygmunt westchnął tylko: — Ech, co tu gadać z durnymi babami!

Kiedy wjeżdżali w las, towarzystwo w saniach rozruszało się już nieco. Woźnice zwolnili bieg koni. Dukt leśny ciągnął się przed nimi prosto, jak strzelił. Świeża okiść gięła gałęzie tak, że wstawszy z sań, można było je ręką dosięgnąć. Leciał wtedy na głowy jadących biały, srebrzysty puch. Wzięto się jednak na sposób i śnieżnymi kulami bołbardowano gałęzie przydrożnych sosn i dębów. Podniosła się wrzawa i kurzawa, bo coraz to komuś zalepiło oko lub poleciało za kolnierz. Ktoś tam nawet chciał się obrazić. Wcale nie dyskretnie zaczęły też krząć szklanki i kubki od termosów. Jedne z kawą, której aromat rozchodził się po całym prawie lesie, inne z gorzalką. A co? Jak kulig, to kulig! Panie, pozorując krepację, krztusiły się i prychały, zapijając czym prędzej serwowaną z drugiej ręki oranżadką. Panowie tykali jednym haustem, strzeżąc dystyngowanie niedopitkę w śnieg.

Pan inżynier, chcąc usłużyć pannie Krysi, powstał z butelką w jednej i szklanką w drugiej ręce, ale go znów fatalnie podcięło. Widać płaza na kolnar trafiła. Cud, że nie wypuścił butelki z cenną zawartością. Chlapnęło mu nieco na rękę, ale panie pospieszyły z chusteczkami. Już na siedząco nalewał swym współtowarzyszkom i częstował. Panna Krysia wyśliznęła dobre pół szklanki — bo też i pan inżynier nie żałował jej trunku

— bez mrugnięcia, oczy jej tylko po przelknięciu zaszyły jakby parą. Pod kocem zaszeleściła słoma i kolanko rejestratorki wcisnęło się, niby mimowolnie, w pana inżynierowe kolano.

— Panie Piotrek, panie Piotrek — wołano od tyłu na organizatora tej eskapady. Siedział on w pierwszych saniach przy księgowej i kierownikach działu, migając nad głowami czerwonym pomponem swej czapeczki. Powstał, rozkładając ręce w niemym geście, który miał oznaczać: „No, nie mogę, kochani, nie mogę”. „Wiedziecie — rozumiecie” — dopowiadał grymasem twarzy i wołający rozumieć już, o co chodzi.

Panna Krysia po wychyleniu następnej, równie szczodrej dawki „klubowej” wpadła w śpiewaczy nastrój.

Rozluźniając przy szył srebrnego linka, donośnym „sznaps-sopranem” zaintonowała: „Teraz będzie numer jeden, zaraz się rozpocznie Eden...”

— No, no, dawaj, Krycha! — zachęcił ktoś z ostatnich sań.

„Przewróć mi w tej koniczynie jeszcze raz — grzmiała już na cały regulator rejestratorka — jak ja to lubię!”

Inżynier chrząknął zażenowany, ale kolanko panny Krysi nie wypuścił. Przy następnej zwrotce śpiewające vis à vis, wbiwszy zmętniały nieco wzrok w pana inżynierowe żrenice, niskim „piersiowym” — jak to niegdyś nazywano — głosem rzuciła wezwanie: „Teraz będzie numer cztery, no, przewracaj, do cholery!”... Do refrenu już nie doszło, bowiem kawalkada dobiła do polanki. A tam czekała na przyjezdnych kapela, nieduża, ot, harmo-



Rys. Józef Tarłowski

nia, klarnet i bęben, tnąc ognistego marszo-oberka.

Pan Piotrek zadyrgował rozładowaniem nyski. Wszyscy dobrze już podmarznieli, na skaczaniach nogach — pomimo słomy i derek — skupili się przy ognisku. Tupali, klaskali, biegali w krzaki. A ogień pochłaniał coraz to dorzucane doń polana.

Gospodarze odwiedli sanie nieco dalej, luzując popregi, wycierając spoczone konie. Z sianem pod pyskiem i derką na grzbiecie odczekiwały ludzkiej przy ognisku uciechy. Razem z nimi zostali woźnice, bo a nuż któremu z kuligowiczów przysłałby fantazja pokłusować duktem? Zeszli się więc przy jednych saniach, popalając „popularne”.

Kapela grała, a pan Piotrek wydawał już prowiant. Każdy sięgał skwapliwie i nadziewał na przygotowane zawczasu kije kielbasę, a kto lubił, przelał jej kęsy chlebem i wstawiał w ogień. Skwierczało więc smakowicie.

Blżej ognia przyciągnęło termosy, plastikowe kubki i wielką chochle.

— O, jak dobrze, będzie herbatka — ucieszyła się pani księgowa. Z termosów jednakże nie herbaciano. Z wino-korzenny rozszedł się zapach. Grzaniec! Tak, to była ta niespodzianka, którą wyszykował pan Piotrek. Księgowa koso spojrzała na pojemniki i sprawcę owej siurpryzy.

— Ja panu tego nie podpiszę — do-dała jadowitym szeptem.

— Bo też i nie trzeba, to jest z naszej dodatkowej zrzutki — odparł pan Piotrek.

— Ale ja nie płaciłam za to — próbowała się odciąć od sprawy pani księgowa.

— Mowy nie ma! — zakrzyczeli ja inni. — Pierwsze sanie — a mieli tu na myśli księgową i kierowników działu,

— Panie Zygmuncie, a pan wie, że gdzie kucharek sześć, tam nie ma co jeść — przerwał któryś przysłowiem — ale jest co p...!

— Panie, dzieci słuchają! — Rzeczywiście — zauważył dowcipniś — a po cholere wlec bachory na imprezę dla dorosłych?

Zawrzało. I choć wszyscy rączę przyznawali, że po cholere, to głośno jednak dezaprobowali wystąpienie samozwańca. Pan Zygmunt uciekł gdzieś między sosny, nie było już co kończyć wykładu na temat dawnych obyczajów. Pan Piotrek szukał go dobrą chwilę. Jakos tam w końcu dał się pan Zygmunt udobruchać.

— Grzaniec stygnie! — zawołał ktoś pojednawczo. Kapela huknęła „Głębką studzienkę”, a z termosów zaczęto czerpać żwawo, aż zabieliło się dno.

Krag wokół ogniska ciemniał od bezładnej deptaniny. Ktoś tam płasał, ktoś tam tupał w takt. Grunt, że wszystkim zrobiło się ciepło, a może jeszcze i lepiej. Zaczęto rozglądać się za inżynierem i rejestratorką — niekoronowaną parą kuligów.

— Gdzież oni? — pytano. Gospodarze z przyzwyczajeniem oka objaśniali ich absencję: poszli słuchać dzieciaków. Dzieciaków? Ano, tak. Jakos po dobrej chwili nadeszli z zupełnie innej strony, niż ich wypatrywano.

Tymczasem towarzystwo dosiadało już sań. Panowie dogaszali ognisko, ładowali termosy i kartony do nyski, kapela grała na odchodne. Ktoś klaskał i wołał: „Dziękujemy, dziękujemy!”.

Ruszyli na krótsze drogi. Calkiem już nisko między drzewami błyskało słońce, co się po rannej zadymce południem wykuło. Szły więc czerwone refleksy, jakby kto grzańcem po śniegu polewał. Las był cichy, pełen oczekiwania na powrót wron i nocy. Brał lekki mroziec.

Inżynier przesiadł się do rejestratorki. Nic nie mówili, ani do siebie, ani współtowarzyszek.

— Krycha, no, jak? — wołano od tyłu. Ten sam głos od „szczęściu kucharek” zaintonował: „On zimny, on zimny, ona gorąca, on zimny, on nie chce, ona go trąca...”. W saniach zaśmiano się domyślnie. „I prawą nóżkę na niego kładzie, ruszaj się, ruszaj się, ty...” — dołatywało niezbyt już wyraźnie, bo sanie z panną Krysią i inżynierem odbiły się na dobrą odległość.

Jeszcze rów, jeszcze źwirowany kawałek pobocza i byli już na miejscu. Rozchodzili się tylni samymi grupkami, jakimi przyjechali. Dzwonki sań głuszył wiatr torebliwsów. Inżynier troskliwie podszedł rejestratorkę na stopnie wozu. Drzwi przyceły mu polypłaszczą, i tak pojechali.

A kanciaste, chłopskie sanie, już puste, wyślizgiwały się w kierunku wsi. Nawet nie było śladu płóz.

ym bardziej, że poprzedzony został dwoma słynnymi obrazami Sternberga z Marleną Dietrich: „Niebieski motyl” (1929) i „Maroko” (1930).

Ucząc się na pianinie walca Ivanowic’ego (było to pod koniec okupacji, a ja miałam osiem lat, zał walc — o meko! — w nutowym zapisie: cze-ty czy nawet sześć bemoli!), dowiedziałem się o istnieniu Marleny Dietrich, kobiety o „zamglonym spojrzeniu”.

Na ekranie zobaczyłem ją tuż po wojnie. W kinie „Lewart” w Lubartowie wyświetlano amerykański film: nakręcony w 1941 r. przez René Claira „Plomień Nowego Orleanu” z Marleną w głównej roli, a ja siedziałem zaszyty głęboko w najciemniejszym kącie kina, w prawym rogu sa-ń, pod balkonem, bo film był od lat osiemnastu! I Marlena Dietrich była taka właśnie jak w pliosence o X-27: przepastne, tajemnicze oczy, mocno rysujące się usta, wspaniała figura. Gdy teraz, podczas świąt, oglądając „Portret aktorki”, zobaczyłem także scenę z „Plomienia Nowego Orleanu”, ujrzałem nagle w pamięci ów film w całości: każdą sekwencję, każde ujęcie. Bo jest to film, który zapamiętałem na całe życie; jeden z tych filmów posiadających swoją „magię” — choć nie zawsze najlepszą artystycznie — dzięki któ-rym można zakochać się w kinie... I dlatego ży-wię wdzięczność wobec Marleny Dietrich. Rów-nież dlatego, że dzisiaj nie pozwalała się fotografowa-ć. Ze mogła pozostać dla mnie na zawsze „Plo-mieniem Nowego Orleanu”.

W wigilijny wieczór, w ramach cyklu „Wielcy kochankowie ekranu” pokazano w telewizji film

fabularny „Pożegnalny walc”, nakręcony w Hollywood w 1940 r. przez Mervyna Le Roya’a z Vivien Leigh i Robertem Taylorem w rolach głównych. „Pożegnalny walc” (jego oryginalny tytuł brzmi „Waterloo Bridge”) jest filmową adaptacją znanej w latach międzywojennych sztuki teatralnej Roberta E. Sherwooda, ukazującej tragedię młodej tancerki, której ukochany, oficer wywodzący się z arystokratycznej rodziny, zginął pod-czas I wojny światowej na froncie, został uznany za zabitego, a ona, nie mając pieniędzy na życie, musiała pójść na ulicę... Po wojnie narzeczony odnajduje się i chce pojąć Myrę za żonę, ale ona, zdając sobie sprawę, jaką hańbą okryłoby nazwi-sko przyszłego męża małżeństwo z byłą prostytutką, zrozpaczona, rzuca się na londyńskim mo-ście Waterloo pod koła przejeżdżającego ambu-lansu sanitarnego.

Ten banalny skądinąd melodramat, dotyczący minionej dawno wojny 1914—1918 r., pasował jed-nak jak ulał amerykańskiemu producentom z roku 1940 do podjęcia wojennego tematu w zwi-azku z toczącą się właśnie w Europie wojną, w której jednak Stany Zjednoczone nie brały jesz-cze udziału i jak mogły, starały się podkreślić swoją neutralność. Uaktualniono zatem scenar-iusz, dopisując do sztuki Sherwooda krótkie sce-ny — początkową i końcową: postarzały brytyj-ski oficer, wymierający się jesienią 1939 r. na front, zatrzymuje się na Waterloo Bridge L., tu się zaczyna półtoragodzinna retrospekcja, czyli o-powieść o historii jego niespełnionej miłości z lat I wojny światowej; film kończy się wyruszeniem Roya Cronina (Robert Taylor) w dalszą drogę, do walki z wojskami Hitlera.

Pod względem artystycznym „Pożegnalny walc” jest filmem zupełnie nie znaczącym, zarówno w aktorskiej karierze Vivien Leigh, jak i reżyser-skim dorobku Mervyna Le Roya’a; biografka Vivien Leigh, pisarka Anne Edwards, w swojej dosko-nale napisanej książce „Vivien Leigh. A Biography” (London 1977) poświęca „Pożegnalnemu wal-cowi” zaledwie kilka zdań. A jednak... film ten posiada swoją specyficzną wymowę, swój niezamierzony punkt odniesienia.

Oto został on nakręcony w niespełna rok po gi-gantycznym sukcesie ekranowym i artystycznym „Przemienię z wiatrem” (nawiasem mówiąc, tak-że ukazującym „minioną wojnę”). Wojnę Secesyjną w Stanach Zjednoczonych i, równie wielkim, sukcesie aktorskim samej Vivien Leigh w roli Scarlett O’Hara. Lecz tamta „superprodukcja”, obraz o szerokim oddechu, był filmem sprzed wojny, filmem czasu pokoju, kiedy mogą powsta-wać dzieła wybitne i wielkie. „Pożegnalny walc” zawierał już w sobie wszelkie cechy wojennej filmowej „masówki”, choć — powtórzmy — Sta-ny Zjednoczone nie były jeszcze wówczas w sta-nie wojny ani z Japonią, ani z Niemcami. A jed-nak piętno wojny, toczącej się na odległych euro-pejskich frontach, już się na nim odcisnęło. I dla-tego, choć to film tak słaby, tak mierny, i tak bardzo niegodny wielkiego talentu Vivien Leigh — warto go było obejrzieć, i warto o nim pamię-tać.

M. D.



Konkurs na opowiadanie

Zarząd Klubu Literackiego przy Lubelskim Oddziale Związku Literatów Polskich ogłasza konkurs prozatorski „STRON”. Mogą w nim wziąć udział prozaicy z regionu środkowo-wschodniego, nie należący do Związku Literatów Polskich.

Oczekujemy opowiadań współczesnych, nigdzie dotąd nie publikowanych, w objętości do ośmiu stron maszynopisu i w trzech egzemplarzach. Uczestnicy mogą nadesłać więcej utworów, ale w osobnych kopertach. Utwór powinien być oznaczony godłem. W zamkniętej kopercie, opatrzonej tym samym godłem, należy dołączyć imię, nazwisko i dokładny adres autora. Przesyłki prosimy kierować pod adresem Klubu Literackiego ZLP, 20-010 Lublin, ul. Graniczna 9 — do dnia 15 kwietnia 1987 r. (decyduje data stempla pocztowego).

Nagrody będą następujące: I — 15 000 zł, II — 10 000 zł, III — 5000 zł i zostaną wręczone w czasie trwania wiosennej Biesiady Literackiej. O terminie laureaci zostaną powiadomieni listownie.

Dariusz Jarosz

DROGA

Przejdź się tą drogą
czy wiesz?
już nie ma tam cierniowych trawników
już nie ma tam pomalowanych ławek
ktoś nieważnie księżycowym sierpem
ogolocił przedpola wspomnień
czule miejsca zabudował stalowymi parkanami

Nie ma tam Ciebie
oczy nie pielęgnują rozłożystych klonów
i słońce już nie świeci jak wtedy
kiedy spacerowym krokiem przemierzaliśmy uliczki
Samotny jest ten park
i głupiec
który przyjmował z ust twoich szczerze pocałunki
w ciepłocie ciała szukał ukojenia
garściami pił źródlaną wodę
i w oczach koloru morza
tonął bez pamięci

Łukasz Manzarek

VII

Trudno wyjść poza to
co stanowi w nas
jedynie rozgoryczenie

i niechęć
do samego siebie

nie wiem jak dla was
ale dla mnie jest to cholernie trudne

dlatego
nie chciałbym pisać słowami
które w istocie będą tylko puste i jednoznaczne

dlatego
nie chciałbym
abyście odeszli zbyt daleko nie wysłuchawszy mnie do

kiedyś wierzyłem
że można rozmawiać w pełni uczciwie
nie używając słów
zupełnie niepotrzebnych

Urszula Jaros

Nie odpuściłam ci winy
nie odpuściłam ci winy
z nieodpuszczonej winy
jest cegła na mur
krew do żywoplotu
lub do procy kamień
są słowa modlitwy
które brzmią jak wyrok
i wszystko dobre wzajemnie

wyrzucone w niepamięć
z etykieta fałszywe

Nie odpuściłam ci winy
ona cała nabrzmiała
i szuka innych
by wciąż wzmacniać siebie

dawane

Zaciskam mocno palce
sen pachnie jak czereśnia
a tak ją trudno zerwać
w nocy stromej wysokiej
trzaskają bicze pamięci

podeptać jedno życie
jak wielką nierządnicę
choć było tylko twoje

Mocno zaciskam zęby
a gdy już siebie pokonam
odwrócę się i spojrzę
puste zobaczę pole
wtedy się nie przerażę
wiem to jedyne wyjście
przed ostatecznym

wierzyłem
że nigdy za to się nie płaci
myślałem że wiem
czym jest poezja
lecz teraz
kiedy już rozumiałem
że wszystko jest tak
obce
nieosiągalne

chciałbym
powrócić tam
gdzie jeszcze nas nie było

i wszystko
zaczynać od początku

Robert Zabielski

FANFARONI

jak fanfaroni
na prostych odmianach stąpania
nieraz byliśmy wędrowcami
w pustych przestrzeniach
kulejąc poprzez mogiły braci

nie wyczerpiemy nigdy zależności
moj fanfaroni
katedry nie wzniesiono świętym
modlitwą nie ulepiono życia

kroczyli wśród bezładu
muzyką burz karmieni
wewnętrznych sprzeczności
konania w chwili narodzin

zawiedliście się w momencie
kiedy stanęła na nogi ludzkość
metamorficzna w purpurze i zieloności
to tylko naturalny wstrząs psychiczny
euforia wiatru południa
zwolnione myślenie ruchomych ramion
przebudzenie stalowych włosów
zbieranie nasienia
rozsianego po udach
obleczonego w ekspresję nocy nie kradnijcie

DEBIUT

Artur Przystupa

wszystkie kobiety
kupity w antykwariacie
mądrego hindusa
książki o miłości

ułożyły je z kobietą dokładnością
już wiedziały, jak całować
martwych kochanków

każdy z was wie
dokąd iść
nie wiem gdzie jestem
niebo tak blisko
i piekło

MORALIK

PRZYSZEDŁ o zwykłej porze.
Tego dnia padalo od rana i
splukało kurz z dachów. Cze-
kając na niego, oglądała z za-
chwytem ze swego okna na poddaszu,
zmieniony widok. Wreszcie czysto,
miała już dość tego zakurzonego, miej-
skiego lata.

Zdjął kalosze i płaszcz. Pod wie-
szakiem utworzyła się mała, szara
kałuża. Popatrzyła na jego nogi i
struchlała — stopy były bosa i po-
marańczowe. Dlaczego tego nie zauwa-
żyła do tej pory, po blisko trzyletniej
znajomości? Cofnęła się odruchowo.
Dostrzegł to i zaczął się śmiać. Głos
miał metaliczny, trzeszczący, jakby w
krtani rozciągała się i kurczyła sprę-
żyna. Nie ruszała się z miejsca. Stała
zaskoczona i przestraszona. Odsunął ją
lekko i wszedł do pokoju. Jego ręce!
— zauważyła — przecież są także po-
marańczowe. Patrzyła, jak z trzaskiem
siadał na kanapie, wziął w te swoje
„lapy” gazetę i, nie ruszając oczami,

MUCHA

SKĄD ona się tu wzięła? Okna
pozamykane, drzwi od kilku
dni również zamknięte. Pew-
nie z tych resztek sera, który
leży na stole w kuchni. Jej brzęcze-
nie jest przyjemne wśród nieznośnej
ciszy, jaką zostawił po sobie zegar,
który niespodziewanie zamilkł. Ile
czasu już upłynęło? Dwa, trzy dni,
może dłużej. Coraz trudniej mi do-
trzeć do łazienki, nie mam już nic do
jedzenia i bardzo chce mi się pić. Ja
wiem, oni nie mają czasu. Przecież
Henio uczy się do doktoratu, Elżunia
pracuje, no i wychowuje dziecko.

Pani Molikowa, jak na złość, wy-
jechała do sanatorium. Henio obiecał,
że załatwi mi też sanatorium, ale nie
miał czasu. Ile to już lat, jak sprze-
dali moją gospodarzkę? Może z pięć,
a może więcej. „Mamie będzie lepiej
w mieście — mówili — Mieszkanie się
załatwi, a i nam będzie bliżej mamę
odwiedzać”. Odwiedzają, ale raz na
pół roku, jak imieniny albo rocznica
śmierci Jurka. W Twornikach nie
byłabym taka samotna. Zawsze ktoś
by przyszedł i wszędzie blisko.

Ta choroba teraz, kiedy jestem sa-
ma i już niepotrzebna (tak nigdy o
tym nie myślałam, nie było czasu
myśleć, że kiedyś mogę być niepo-
trzebna), przyszła w samą porę. Mo-
że Bóg da, że ciele z tego świata
niedługo i oszczędzi długiej, przykrej
samotności.

zaczął czytać. Dlaczego ma taką szarą twarz? Siadła naprzeciw niego i zaczęła go obserwować.

Znają się już dość długo. Przychodził na początek codziennie, później dwa, trzy razy w tygodniu, teraz co tydzień, w sobotę. Przyzwyczaiła się do tych wizyt. Zawsze to rozrywka po całym tygodniu nauki. Czy czuła coś do niego? Być może na początku, później powiedzieli sobie, że ich właściwie nie łączy poza tym, że lubią czytać razem prasę z całego tygodnia. Pozwoliła mu przychodzić. Miała znajomą w kiosku, więc czasopisma kupowała ona. Od pewnego czasu zaczął ją denerwować, żeby chociaż powiedział coś miłego, czy opowiedział, co wydarzyło się u niego w ciągu tego tygodnia — nic. Nie prześlą jej nawet spojrzenia. A przecież była kobietą, on zdawał się tego nie dostrzegać. Miała już dość. Pół roku co tydzień obiecywała sobie, że powie mu, co o tym myśli, i nie miała odwagi. Mógłby się obrazić i przestałby przychodzić, wtedy byłaby zupełnie sama. Ale przecież on wcale nie czyta! Przygląda się jej.

— Czy chcesz coś powiedzieć?

— Tak, muszę ci powiedzieć, że było mi z tobą dobrze.

— Jak to „było”, nie będziesz już przychodził?

— N...ie, bo widzisz ja... — zrobił się zupełnie pomarańczowy.

— Jesteś chory!

— Tak, to znaczy niezupełnie. Ja umieram. Widziałam moje stopy i dłonie? Niedługo będę taki cały, a później... właśnie mam prośbę. Czy nie mogłabyś pomóc mi umrzeć? — Z wielkim wysiłkiem podał jej małe pudełeczko z wystającą rurką. — Nie bój się — powiedział — nie będzie krwi. Oszczędzisz mi tylko tej męki...

— Wydobył z siebie suchy trzask. — Ja cię kochałem, bardzo cię kochałem, ale nie mogłem tego okazywać. Jest nas wielu, nieraz zobaczysz, jak umieramy. To bardzo boli, proszę cię, pomóż mi.

— Ale skąd wiesz, że umierasz? Co to znaczy, że jest was wielu? Kim jesteś? Jeżeli jesteś chory, to wezwę pogotowie, w klinice wyleczą cię.

— Wszystkiego nie mogę powiedzieć, właśnie ze względu na ciebie. Nikt

nie może cię wyleczyć. Jestem Moralikiem. Stworzono nas po to, by sferować moralnością ludzi i oczyszczać społeczeństwo. Znamy wasze myśli i potrafimy przewidzieć każde działanie. Coś w rodzaju cenzury. Programują nas na dwadzieścia pięć lat, potem musimy umierać. Mówię „umierać”, bo my czujemy, potrafimy śmiać się, płakać, odczuwamy ból, dużo silniej od was. Nasz system nerwowy, mimo że sztuczny, jest bardziej wrażliwy. Kontaktujemy się i przekazujemy informacje za pomocą telepatii. Zdawałem sobie sprawę od początku, czym jestem maszyną, bezwzględny, automatycznym donosicielem. Ile razy moje sumienie rozrywało mi serce, kiedy skazywałem na likwidację jakąś osobę! Nie mogłem jednak inaczej postępować. Zupełnie jak nakręcana zabawka, musiałem robić to, do czego mnie stworzono. Nie jesteście doskonali, ale macie prawo wyboru, prawo decydowania o sobie. To jest wolność, której nie doceniacie. Chcę cię ostrzec, dlatego przyszedłem tu umierać. Zanim mnie zniszczą — zdążę. Masz skłonności do bardzo niebezpiecznych poglądów. W domu możesz sobie swobodnie myśleć, ale między ludźmi pilnuj się. Nic, co by zbyt jaskrawo odbijało od przeciętności, pamiętaj. Nie wiesz jeszcze, co się dzieje z tymi nieźrównoważonymi. Wszystkich wyłapują i w klinikach poddają ich leukotomii. Później to już zwierzęta. Błagam cię, ćwicz w domu. Kiedyś już musiałem niszczyć drogę do ciebie, gdy koledzy wpadli na twój trop. Najgorsze, że gdybym cię nie kochał, już dawno pewnie bym cię wydał. Sprawdzają, czy jeszcze żyję, mało czasu mi zostało. Musisz zmienić mieszkanie. Wiem, że będzie trudno, ale postaraj się zrobić to zaraz. Spakuj rzeczy już teraz. A kiedy będzie już po mnie, opuść ten dom jak najprędzej. Przyjdą po mnie lub po to, co ze mnie zostanie, i gdyby cię tu znaleźli... Aż strach pomyśleć, co mogłoby się wydarzyć. W ciągu ćwierć wieku nauczyłem się, jak można ich oszukać i robiłem to czasami; teraz żałuję, że nie częściej. Dzięki tobie poznałem prawdziwe wasze życie. To, co nam pokazują na filmach, to bzdura. Już nic nie mogę dla was zrobić. Myślę, że każdy z nas to samo czuje przed śmiercią. Ale oni to przewidzieli, dając nam tak krótkie życie... Muszę się już pożegnać, weź laser i zrób, o co cię proszę samowite. Widziałam, jak w sekundzie stopił się cały. Pozostał mały, dymiący pagórek. Cisza rozsadała jej głowę. To... jeszcze drgało parę sekund.

Myślałam, że może zrobię Mireczkowi czapkę i szalik na zimę, ale już chyba nie dam rady. Zawsze Henio prosił, żebym im robiła swetry, czapki, szaliki i rękawice na drutach. Przypomina mi, jak siedziałam wieczorami, oni z Jurkiem bawili się, a ja im dziergałam „te cudenka”. Tak powiedział — „cudenka”. To dobry chłopak, pamięta nawet takie rzeczy, kocha starą matkę. Jakże mógłby nie kochając pamiętać tak drobne rzeczy. Michał, gdyby dożył, na pewno byłby dumny z synów...

Znow pojechała, może dlatego, że myślę na głos. Już nie będę. Rzeczywiście mój głos dudni w tych betonowych ścianach tak, że nawet mucha może się przestraszyć.

Przypominał mi Henio również te wycieczki do lasu co niedzielę. Opowiadał przy mnie Elżuni, że taka była dzielna, że na wszystko znalazła czas. Zawsze, kiedy przychodziła, wspominałyśmy. Bo właściwie o czym mają rozmawiać ze starą matką? Przecież nie o swojej pracy, pewnie nie bym nie rozumiała. Ja lubię te wspomnienia, mimo że przypominają mi o tym, iż czas już odejść, i żeby były nie wiem jak wesole, zawsze jest mi smutno. On nie bardzo je lubił, widać, że się zmuszał. Może dlatego tak rzadko przychodził? Jeżeli jeszcze będę żyła, to nie dam im się tak męczyć na wizytach u mnie. Nie pozwolę, by nudzili się, wspominając.

Czy byłam dobrą matką? Być może zrobiłam coś złe, bo nie przychodziłam częściej? Może mają żal, że sami dorabiali się wszystkiego tu, w mieście? Ale przecież ja mówiłam, żeby przyjeżdżali i brali, co chcieli. Było co brać, pracowałam, jak mogłam, na tej ziemi, no i wysyłałam od czasu do czasu parę złotych, jak sprzedawałam ziemniaki czy jęczmień. Może to złe ludzkie języki tak mi nastawily dzieci, że niby to ja narzekam, że nie przyjeżdżają pomagać? Ile to razy Dominikowa albo Partoszka przychodziły i żrędzily na swoje dzieci.



lem. Zatrzymaj go, będziesz bezpieczniejsza.

Wzięła pudełko do ręki, wymierzyła. Błysnęło: to, co zobaczyła, było nie-

— Nie pamiętała, jak długo pakowała swoje rzeczy. Nie było tego wiele, ale

wydawało się jej o całą wieczność za długo. Uciekła, z hukiem zatraskując drzwi. Miała ochotę krzyknąć i nie mogła wydusić ani słowa. Dopiero w pociągu poczuła się bezpieczna. Przez zaciśnięte powieki przedarły się lzy, jedna, druga, trzecia... coraz więcej.

A moje przecież lepsze niż ich. Dominikowej dziewczucha to stara do domu starców oddała, a Bartoszki synowie po kryminalach siedzieli. Później przyjeżdżali, a jakże, ale pracą się nie zhańbili, tylko na jej garnuszku dotąd siedzą.

Chciałabym przypomnieć sobie coś miłego. Jak to człowiek niesprawiedliwy! Powiodło się moim synom. Nie było to życie zawsze laskawe, ale na koniec się odwróciło. I szczęściem nie umiem się cieszyć. Grzech, Pan się gniewa i dlatego doświadcza staruchę. Pamiętam, jak Mireczek był u mnie na wakacjach. Włożył sobie żelwny sagan na głowę i nie mógł zdjąć. Najedliśmy się strachu. A później ile było śmiechu. Tylko Henio narzekał, że nie dopilnowałam...

Znow jest, jak miło brzęczy. Na wsi byłaby utrapieniem, pewnie próbowałabym ją złapać. A tu — ot, towarzysza. Ciekawe, co oni teraz sięją na mojej ziemi? Kto ją wziął — nawet nie chciałam wiedzieć. Dobra ziemia, tłusta, pachnąca. Tak bym sobie posiedziała w zbożu, popatrzyła, jak zbierają, przecież jeszcze są żniwa. Wstyd mi było prosić, by mnie pochowali w naszej ziemi. Oni — moje dzieci — tacy dla mnie dobrzy. I co ja tutaj będę robiła w tej obcej, miejskiej ziemi? To nie ziemia, tylko glina i piach. Tak mi było żal, że Jureczka schował na taką półkę jak do szuflady i przywalił ciężką płytą. Ziemi grób to jest grób! I krzyż bodaj z brzoźowych gałązek, a nie taki ciężki. Niby to ładne. Nie chcę tak leżeć, jak ryba w puszcze, pod ciężkim głazem na dodatek. Ale jak im to powiedzieć? Znowu się obrażą, że chcą jak nalepiej, a ja grymaszę jak dziecko.

Tak, to już chyba na mnie pora przysła. A to i dobrze, po co mam żyć? Dzieciom się już nie przydam i tylko kłopot ze mną mają. Ręce nie byłyby takie twarde, żeby nie ten reumatyzm. Tak ładnie haftowałam.

Może bym jeszcze co zrobiła? Moje serwetki w czasie wojny wieś ocaliły. Gdyby nie one, wieś by spaliła, tak jak sąsiednie Betudy. Był taki jeden oficer niemiecki, który przychodził po moje serwetki i żądał następnych. Ja haftowałam, no i wieś zostawił. Później już nie mieli czasu. A nie gadali ludziska, że to niby Hitlerowi się wysługują? Dopiero Michał, kiedy wrócili z lasu, powiedział, że to przez serwetki, moje serwetki, ludzi i chałupy los sąsiadów nie spotkał...

O, siadłaś sobie, brzęczucho, przy mnie. Posiedź, posiedź, pogadamy! Co by człowiek poczuł bez drugiego albo i bez stworzenia żadnego? Trzeba było przeżyć tyle lat, żeby przekonać się, że nawet mucha może dać tyle radości. I takie to mądre, lazi po mnie i nie ucieka, wie, że się już nie ruszę. Boże, jakże to umierać bez księdza, samemu, bez spowiedzi? Panie, zlituj się nade mną! Tyle lat mnie, grzeszną, trzymałeś przy życiu, zachowaj jeszcze trochę, żebym mogła umrzeć w swojej ziemi, wśród ludzi. Oszukam ich, wyjadę i tam umrę. Ja chcę u siebie Tamta ziemia mnie przyjmie, ta wyrzuci. Tak boli, chyba już nie mówię.

Mucho... to przecież nie mucha, to Jurek. Nie, to ty, Michale? Przyszedłeś po mnie. Tak, ty jeden mogłeś po mnie przyjść. Poczekaj idę, już!

Redagują: Marek Danielkiewicz, Urszula Gierszon, Urszula Jaros, Grzegorz Mitrowski, Grzegorz Pernach.

Adres dla korespondencji: 20-010 Lublin, ul. Graniczna 9, tel. 234-49.

W Piaskach nie tylko flaki

Dokończenie ze str. 1

— Wszyscy w Piaskach dobrze się znają i ludzie wstydzą się takiej pracy, ale wreszcie udało się zatrudnić mężczyzn — powiada naczelnik.

Ale co tam obsada szaleć! W Piaskach pracuje obecnie jeden dentysta, obsługujący 10 tys. mieszkańców, i jest tylko półtora etatu lekarzkiego. A dodać trzeba, że ośrodek zdrowia w Piaskach to jeden z trzech w piętnastotysięcznej gminie. Powstała niedawno Gminna Rada Ochrony Zdrowia i rozbudowa ośrodka w Piaskach (z laboratoriami, rtg, podstacją pogotowia) postępuje intensywnie. Ale naczelnik martwi się już o przyszłą kadrę lekarską, bo nie ma przecież mieszkań. Milicjantów też brakuje (obecnie siedmiu), z tych samych powodów mieszkaniowych. Istnieje w Piaskach spółdzielnia mieszkaniowa i rozległe plany na przyszłość, tylko że na razie trzeba czekać na wybudowanie oczyszczalni ścieków (w planie na rok 1987), ale Bóg raczy wiedzieć, czy budowa ruszy w tym roku.

Władza gminna w Piaskach robi — przynajmniej na przybytku — dobre wrażenie, znać, że żyje sprawami miejsca, w którym bytuje. Hal sama przeraziła się tego, co napisałam, bo czyż to przystoi mi wazelinarsko pisać o władzy, nawet w gminie? Ale tak chyba w rzeczy samej jest. Władza tu „miejscowa” z urodzenia — i sekretarz Komitetu Gminnego i zastępca naczelnika. A naczelnik — z bytowania. Czy jest już naprawdę piaszczaninem, nie wiadomo, bo starzy ludzie mówią tutaj żartobliwie: musi sześćset lat mieszkać, żeby być obywatelem Piask — i starannie poróżniają urodzonych w Piaskach i napływowych. Sekretarz komitetu Tadeusz Pysz powiada:

— To trudne środowisko i bardzo złożone społeczeństwo. Można było więcej dotychczas zrobić i lepiej działać, ale był czas (początek lat osiemdziesiątych), że nawet między partiami nie było tu zgody.

Władza przejmuje się chyba tym, co mówią ludzie, a nawet tym, co pisują w gazetach. Zaraz na początku rozmowy zastępca naczelnika pokazuje mi „Kurier Lubelski” z 15 grudnia, gdzie

na czołówce tekst opluwający o aspiracjach Piask do miejskości i o brudzie w Piaskach, odnotowanym podobno w statystykach Sanepidu. Wierzę koledze dziennikarzowi (podpisanemu literkami), choć sama lubię pisać „z rzeczywistości”, a nie „z głowy”, zaś do wykazów sprawozdań i statystyk nie nabrałam jeszcze na tyle szacunku, by do nich zaglądać.

No, ale obywatele Piask szczerze wzięli sobie to do serca. Pan Kuba, kierownik „Rarytasu”, od 22 lat pracujący w GS i zaangażowany w sprawy Piask, powiada otwarcie:

— Wie pani, nie każdemu na rękę, jak w Piaskach jest dobrze. Wcale nie przesadzam. Przykro, że tak napisali, iż w Piaskach to tylko brudno i nędznie, a przecież gołym okiem widać, że jest także coś więcej.

No prawda, widać. Siedzimy oto w restauracji „Rarytas”. Czysto (nawet w toalecie), flaki, słynne w Polsce, po prostu pyszne i karp w śmietanie również. Gotują tu świetnie, choć są przecież w „Rarytasie” rozliczne kłopoty. W ogóle, jak mówi kierownik, budynek ma już ponad 20 lat i obecnie jest niefunkcjonalny. Fatalny dach stropowy, zdarza się, że brakuje ciepłej wody, ale starają się, żeby z takich powodów nie tracili konsumenci.

— A gości mamy zawsze pełno, masę samochodów zatrzymuje się każdego dnia przed „Rarytasem”. Miejscowi raczej tu nie bywają. Na kieliszek zachodzą sobie do „Przystani”. — Pan Kuba wierzy: — Wszystko da się zrobić, żeby było dobrze, bo my przecież robimy dla siebie, ale ręce opadają, jak przyjedzie ktoś i nam namiesza, Bóg wie po co...

Zapewniłam więc pana Kubę, że nie przyjechałam wcale „namieszać”. Emerytowany prezes GS (przez 40 lat pełniący tę funkcję) dodaje zaraz:

— No, my się nie zalamujemy, ale to przecież przykro, jak tak nachalnie ktoś na nas napada, i że to w gazecie tak potrafią wszystko ustawić na „nie”.

Moji rozmówcy są wyraźnie rozżaleni. Powiadają, że w grudniu na spotkaniu z wojewodą Wilkiem dziennikarze z „Kuriera”, „Sztandaru” i rzecznik prasowy uciekli zaraz po przerwie i napisali potem o rzeczach nielotnych dla tych obrad i życia Piask. Zdziwiło mnie trochę to ogólne przejęcie z powodu gazetowej noty, ale zaraz otrzymuję objaśnienie od sekretarza:

— Ludzie z gazetą przychodzą do władz gminnych i mają pretensję, że władze podały do prasy jakieś nieprawdziwe informacje. Jest od razu reakcja społeczeństwa na wszelkie wzmianki w prasie czy w radiu o Piaskach.

Zastępca naczelnika dodaje:
— Sam naczelnik po tym artykule przyszedł rano i mówi, że jedzie do wojewody z podaniem o zwolnienie, tak go to zabolalo.

— Dzieci do szkoły przynoszą wycinki z gazety i trzeba się tłumaczyć, wyjaśniać im, dlaczego tak napisano w gazecie — powiada emerytowany nauczyciel, pan Lucjan Świątlicki.

Pan Świątlicki to zupełnie oddzielna „historia” Piask. Opowiada wspaniale o wszystkim, o szkole, ludziach, dawnych dziejach miejscowości. Jest prawdziwym pasjonatem, przewodniczy Towarzystwu Regionalnemu, które skupia 130 członków. Z wykształcenia jest historykiem, ale tak w ogóle swoistym chodzącym „archiwum”.

— Przychodzą wszyscy do mnie, jak do hipoteki po różne dokumenty o ludziach, o zabytkach, historii szkoły, straży, biblioteki, GS-u... Przyjeżdżają z różnych stron Polacy i Żydzi pochodzący z Piask. Był tu niedawno nawet redaktor z jakiejś gazety z Augsburga, szukał śladów tutejszych Żydów. Ja mam masę dokumentów dotyczących spraw żydowskich. Bo przed wojną w siedmiotysięcznych Piaskach było ich aż pięć tysięcy, a na początku wojny przywieziono z Niemiec transport żydowski, następne pięć tysięcy. Niemcy założyli getto i potem prowadzili stopniową likwidację. Szły stąd transporty na Majdanek, do Trawnik i do Bełżca. Około 1300 Żydów zamordowano w 1943 roku na miejscowym kirkucie. Bo tu był przed wojną duży kirkut i bożnica, ale w czasie bombardowania we wrześniu 1939 roku i w 1945 wszystko się rozsypało. Ani śladu po bożnicy. Ale kościół narodowy się zachował, to ten budynek, gdzie są obecnie magazyny. I zbór kalwiński, czynny do połowy XIX wieku, pozostał jeszcze w ruinach.

Bo trzeba wiedzieć, że w ciągu wieków skupiali się tu rozmaite religie i wyznania. Piaski były kiedyś własnością rodu Orzechowskich, a potem Suchodolskich, szlachty lubiącej „nowinki” religijne, stąd właśnie zbór. A w latach dwudziestych przyjeźli Piaski kolejny wielki rozłam religijny i powstał wówczas kościół narodowy. Pan Świątlicki przechowuje w domu stare roczniki „Kuriera Lubelsko-Wołyńskiego”. Można w nich odsukać informacje o rozruchach religijnych i demonstracjach na ulicach Piask, tłumionych przez policję.

Towarzystwo Regionalne, któremu przewodzi pan Świątlicki, istnieje zaledwie od 1983 roku, ale za jego sprawą wzniesiono już w Piaskach pomnik ku czci tutejszych nauczycieli zamordowanych w czasie okupacji. Ponadto gromadzi rozmaite dokumenty i materiały dotyczące osiemdziesięciu lat działalności biblioteki i tyłuż straży pożarnej, pięćdziesięcioletniej działalności Gminnej Spółdzielni, bada ruch ludowy... A właściwie te wszelkie zbiory pan Świątlicki gromadzi i przechowuje we własnym domu. Wykonuje kroniki obrazujące dzieje rozmaitych „instytucji” piaseckich i martwi się, że jego zbiory nie mają okazji prezentować się publicznie. Istnieje jednak pewna nadzieja, że te cenne „piaseczana” — jeśli tak rzecz można — znajdą miejsce w sali wystawowej, którą władze planują urządzić w Zespole Szkół Zawodowych, w pomieszczeniu odzyskanym po warsztatach szkolnych.

Muzyka młodzieżowa

Lombard nie próżnuje

EFEKTOWNY come back zapewniła sobie hibernowana do-browolnie grupa Lombard. Najpierw zakomunikowała wszem i wobec o zawieszeniu działalności estradowej na czas nieokreślony. Później powróciła szybciej, niż ktokolwiek mógł się tego spodziewać. Lombard opuścił scenę w momencie wyraźnego spadku zainteresowania rockiem. Sale koncertowe pustoszały w zastraszającym tempie, rosły koszty imprez, na które nie było już chętnych. Uznano więc za najbardziej rozsądne umilknięcie na okres potrzebny do wyjaśnienia sytuacji. Niektórzy członkowie zespołu negowali zresztą potrzebę obecności w nim innych osób. Manager Piotr Niewiarowski dyskretnie wyciągnął wodę w usta i bez informowania o wewnętrznych animozjach zażegnał oficjalny rozłam zdawkową informacją o świadomej banieji.

Lombard powrócił na scenę w chwili, kiedy gotowa była już angielskojęzyczna wersja ich piątej płyty. „Anatomia” — „Wings of the Dove”. Wydała ją efektywnie holenderska firma

fonograficzną Rockhause, która zadbała o odpowiedni rozgłos i marketing. Propozycję zakupu płyty „Wings of the Dove” wyraziły wytwórnie zachodniemieckie, brytyjskie i skandynawskie, co w pewnym stopniu jest wykładnikiem uznania dla naszych muzyków i realizatorów. Potrafili oni nagrać materiał zdolny konkurować z propozycjami zachodnich wyjadaczy.

Dopiero teraz okazało się, jakimi to możliwościami dysponuje rewelacyjna, a zbyt mało doceniana w kraju, Małgorzata Ostrowska. Jej timbre głosu, feeling i interpretacja nie mieszczą się w kanonie oblegowych wzorów. Ostrowska śpiewa z pasją i zaangażowaniem. W głosie objawia wyjątkowy kunszt, temperament i siłę przebiecia, jakiej darmo dziś szukać u rodzimych wokalistek rockowych. Małgosia osiągnęła własną pracę poziom europejski i może śmiało stawać w szranki z Annie Lennox czy Elizabeth Fraser, uważanymi, zresztą słusznie, za czołowe postaci sceny rockowej.

Propozycja sprzedania płyty Lombardu w kilku krajach Europy Zachodniej jest gratką nie tylko dla wytwórni Rockhause. Nadarza się znakomita okazja autentycznego (nie tylko na papierze) wylansowania polskiego wy-



Fot. Jacek Gulezyński

konawcy i z tej propozycji Lombard zamierza skorzystać. W tym właśnie celu reaktywował się w zmodyfikowanym składzie. Oprócz Ostrowskiej, Stróżniaka i Zandera, znanych z poprzedniego wcielenia, grają w nim: Henryk Baron (ex-Banda i Wanda) — gitara basowa i Wojciech Anioła (ex-Turbo) — perkusja. Pierwszy występ miał miejsce na festiwalu opolskim, a następnie realizowane będą już poza granicami kraju. Zainteresowanie muzyką Lombardu jest tak duże, że wystarczy go na dłuższą trasę koncertową w Europie Zachodniej, połączonej, jak sądzę, z promocją najnowszego longplaya.

O próbach lansowania polskich wykonawców na tamtejszym, mocno hermetycznym rynku mówiło się dotąd i pisało sporo. Przeważnie kończyły się one fiaskiem. Powody były prozaiczne — do akcji promocyjnej włączały się małe firmy płytowe, nie dysponujące odpowiednią siecią dystrybucyjną, ani też wymaganymi środkami na prowadzenie kampanii reklamowej. Stąd też w proch obracały się plany eksportowe Dwa Plus Jeden, Maanamu, Hanny Banaszak, Kombi, SBB, Czesława Niemena, TSA, Republiki i paru innych, mniejszych bądź większych gwiazd. Holenderska firma Rockhause do potężnych, co prawda, nie należy, leca

Wspólnie z panem Świetlickim namawiamy naczelnika i sekretarza gminy, że koniecznie należałoby wydać jakiś informator, folder o historii i dzisiejszym życiu Piask. Bo dlaczego istniejące od sześciu wieków Piaski (prawa miejskie w 1456 r.) nie mają posiadać spisanej własnej historii. Pan Lucjan gołów jest się tym zająć. Zresztą nie tylko tym, tyśiącem różnych innych spraw, byle tylko służyły życiu Piask. Pisuje także wiersze, zaś z miejscowych legend układa widowiska, ale przy domu kultury w Piaskach nie ma teraz teatru, który mógłby je wystawiać. Choć dawnymi laty bywał. Zastępca naczelnika wspomina, że sam w młodości był amatorsko aktorem. Zresztą z niedawnej przeszłości Piask można by wygrzebać jeszcze inne ważne zjawiska. W latach 1953-68 istniało tu Liceum Pedagogiczne.

Rozwiązano je, uznając, że to zbyt małe wykształcenie dla nauczycieli, że muszą być po szkołach wyższych. Niby słusznie, ale już teraz jest nauczycieli po zwykłym liceum, nawet bez matury! — oburza się pan Świetlicki.

To prawda, a przecież potrzeby (w zakresie liczebności nauczycieli) bywają często mniejsze niż przed wojną. Bo oto w Piaskach przed drugą wojną były dwie szkoły powszechne i 1500 uczniów, a obecnie w jedynej podstawówce uczy się 600 dzieci.

Panu Świetlickiemu wszystko, co dotyczy Piask, świetnie łączy w spójną całość. Od spraw szkolnictwa przechodzi zaraz do tradycyjnych środowisk jarmarków, rozmaitych zdarzeń z okresu drugiej wojny i oczywiście spraw żydowskich. Niedawno otrzymał nagrodę za wygłoszony w Warszawie odczyt „Losy Żydów piaseckich”.

— Ot, różni tu byli ci Żydzi: i bardzo bogaci i biedota straszna, i tacy, co zarabiali na życie noszeniem wody. Była tu taka historia, jak jeden nosiwoda chciał sobie zgrodzić jakiś niewielki domek, no taką lepiankę po prostu. Murarze zestawili ściany domku i czekali na zapłatę. A Żyd wysypał worcezek groszówkę, uciulanych dźwiganiem wody. Rozzłoszczeni murarze rozwalili mu dopiero co skleconą chałupinę.

Ta historia przywołała mi w pamięci „Sztukmistrza z Lublina”. Pytam więc pana Lucjana, czy pamięta te fragmenty z powieści Isaaca Singera, opowiadające o żydowskiej biedocie w Piaskach u progu XX wieku. O żydowskich złodziejach, którzy, jak pisze Singer, „mieli swoje bractwo rządzone przez starszych i własne prawa”, latami przesiadywali w więzieniach. Byli wśród nich koniokradzi i wyłamywacze zamków, niedoścignieni w swej sztuce.

Pan Świetlicki, oczywiście, doskonale pamięta „Sztukmistrza”; dodaje zaraz, że Singer chce przyjechać podobno do Polski, gdzie przecież się urodził i spędził swoją młodość.

— Noblista zażył sobie być w Warszawie i właśnie w Piaskach — cieszy się pan Lucjan.

No więc trzy rzeczy chyba niosą sławę dzisiejszym Piaskom; wspomniane już flaki, powieść Singera i jeszcze sąsiadujące z Piaskami Stowarzyszenie Teatralne „Gardzienice” (niekoniecznie w takiej kolejności). Choć na wspomnienie „Gardzie-



Rys. Józef Tarłowaki

nie” władze gminy i pan Świetlicki krzywią się trochę, że to taki teatr bardzo zamknięty, nikt aktorów nie rozumie, wciąż tylko podróżują po świecie, nie są otwarci dla środowiska, w którym żyją, wreszcie, że mogli by raz chociaż wystąpić w Piaskach. Władze „krzywią się”, niby trochę narzekają, ale pilnują przede wszystkim zaawansowanej już znacznie rewolucyjnej zabytkowej oficyny przy pałacu w Gardzienicach, która ma być przeznaczona dla teatru.

A mają w końcu w samych tylko Piaskach rozmaitych przedsięwzięć co nie miara. Wciąż buduje się tu i poprawia drogi wodące z Piask do 39 wsi gminy. Trzysta milionów złotych pochłonie wspomniana już oczyszczalnia. Gminna Spółdzielnia przedsięwzięła budowę dużego magazynu zbożowego. Powstaje w Piaskach stadion, a także zaistniał już komitet budowy hali sportowo-widowiskowej, bo działa tu LZS i Klub Sportowy, a nie ma nawet dobrej sali gimnastycznej z prawdziwego zdarzenia. Gwarectwo Węglowe w Łęcznej chce służyć pomocą w budowie hali, bo w zespole szkół na kierunku górniczym kształci swoją przyszłą kadrę.

— Odczuwamy obecność górnictwa na terenie Piask i gminy — powiada naczelnik. — Ostatnio gwarectwo przejęło dworek w Borku na potrzeby własne i prowadził tam wszelkie prace rewolucyjnej.

Tylko w sferze życia kulturalnego żadnych większych przedsięwzięć nie planuje się na razie w Piaskach. Ale nie, żeby znowu nikt tu nie dbał o to, co dla ducha, o nie! Naczelnik doskonale wie,

że należałoby rozbudować dom kultury, ale przecież wszystkiego jednocześnie budować nie można, no i przede wszystkim nie ma za co. Władze wojewódzkie opędzają się od zwiększania datków na cele kultury gminnej, mając stały argument: w Lublinie trwa budowa teatru. Ano trwa, oby dotrwała przynajmniej do jakiegokolwiek końca. Ale wróćmy jeszcze na chwilę do Piask.

Zycie postępuje tu powoli, ale chyba raczej do przodu, ludzie czegoś chcą dla siebie. Ci, którzy nie uciekają do Lublina, marzą chyba, żeby było się tu lepiej, ładniej. Cieszą ich pewnie te cytryny, pomarańcze, szampany, których dostarczono przed Bożym Narodzeniem więcej, niż ludzie chcieli kupić. I pewnie także te śledzie, których wystarczyło w tym roku dla wszystkich, dzięki funkcjonującemu tu sklepowi centrali rybnej. No tak, takie rzeczy ludzi właśnie cieszą. Bo wierzą może, że to jakaś oznaka (choć marna przecie wiadomo), że niezupełnie ugrzęźli już w małym piasku.

O życiu Piask i sytuacji osady u progu naszego wieku Singer tak pisał: „Tu, w Piaskach, ludzie siedzieli jak ropuchy na pniaku, ale na szerokim świecie wypadki toczyły się szybko”. Gdyby chcieli zakpić z życia i poczynań ludzi w małej przylutnej osadzie, można by przestawić kolejność Singerskich zdań i napisać szyderczo, że dzisiaj jest zupełnie odwrotnie. Ale jeśli nie ma konieczności, by sypać piaskiem w oczy, można tego nie robić.

Lidia Wójcik

potrafiła znaleźć kontrahentów skłonnych kupić gotowy produkt i z zyskiem go sprzedać. A o to przede wszystkim w tej zabawie chodzi. Jeśli w najbliższych miesiącach „Wings of the Dove” znajdzie się w katalogach wydawniczych wspomnianych krajów, możemy być pewni, iż nie będzie to ostatni krążek wyprodukowany przez Lombard na Zachodzie.

Do realizacji tego albumu doszło dzięki mądrej prowadzonej reklamie Lombardu podczas targów piętowych MIDEM w Cannes. Na stoisku polskim oferowano przedstawicielom show-businessu krążek „Hope and Penicillin”, będący angielskojęzyczną repliką albumu „Szara maść”. Zawierał on sporo ciekawej, profesjonalnie zagranej muzyki. Była ona zachętą dla zachodnich producentów do zainteresowania się działalnością naszej grupy. Po targach odeszło się kilku przedstawicielom firm holenderskich i zachodniemieckich, gotowych podjąć ryzyko tłoczenia i promocji płyty.

Sam zespół nie zasypiał gruszek w popiele, tylko pracował w tym czasie nad dyskiem „Anatomia”. Jego polska premiera wydłużyła się nieco w czasie poprzez kłopoty produkcyjne „Savitoru” i nie wywołała spodziewanej sensacji. Pomysł podziału płyty na dwie części, przeznaczające na popisy Małgorzaty Ostrowskiej i Grzegorza Strózińskiego, okazał się chybiony. O ile strona Małgorzaty kipiła temperamentem (patrz „Gołębi puch”), to strona Grzegorza nuciła monotonią. Doświadczenie polskiej edycji „Anatomii” posłużyło do zupełnie odmiennego ustalenia repertuaru wersji eksportowej („Wings of the Dove”). Zmieniono w znaczący sposób aranżacje, wysuwając do przodu instrumenty, dokonano koniecznych remiksów, dzięki którym płyta brzmi nowocześnie i nie odstaje

poziomem od krążków realizowanych przez brytyjskich speców pop rocka.

W trakcie niezbędnych czynności produkcyjnych dysku, Lombard odpoczywał po owocnych w koncerty ostatnich latach. Nie znaczy to, że jego członkowie próżnowali, spijając miody popularności. Leader zespołu, Grzegorz Stróziński, pracował w studiu nad nowymi kompozycjami, niezbędnymi do przyszłych występów promocyjnych na Zachodzie. Gitarzysta Piotr Zander sformował własną kapelę, z którą zamierza kontynuować występy w przerwach między wyjazdami i koncertami Lombardu. Natomiast solistka Małgorzata, znana z temperamentu i niekonwencjonalnych pomysłów (patrz płyta „Bass pace”), wzięła udział w realizacji filmu Krzysztofa Gradowskiego „Podróże Pana Kleksa” (rola królowej Aby), a także uczestniczyła w wielce obiecującym koncercie „Polish Extravaganza”, przygotowanym w Nowym Jorku przez Michała Urbaniaka i kilku rzutkich producentów polonijnych. Wypadła tam interesująco i kto wie, czy echem wizyty za Oceanem nie będą następne solowe nagrania Małgorzaty.

Polscy fani dosyć dawno nie słyszeli nowych piosenek polskiego comba. Spowodowane to było blisko rocznym milczeniem grupy oraz przygotowywaniem materiału do zachodniej promocji. W najbliższym czasie zespół nagra zapewne utwory, które usatysfakcjonują większe grono jego zwolenników. Pomysłów bowiem Lombardowi nie brak, a nowa ekipa gwarantuje większą niż dotąd aktywność nagraniową. Sądząc, iż najbliższe miesiące przyniosą oczekiwane efekty.

Istvan Grabowski

KRONIKA KULTURALNA

Teatr im. Juliusza Osterwy w Lublinie wystąpił z kolejną premierą wystawiając „Bellefem Polakie” Lucjana Rydla w reżyserii Andrzeja Rohlina i scenografii Andrzeja Markowicza. Duże powodzenie ma ten spektakl.

W zabytkowym budynku dawnego klasztoru Pijarów przy ul. Lubelskiej w Chełmie rozwinął działalność oddział Muzeum Okręgowego specjalizujący się w prezentacji polskiej sztuki wzmocnionej obejmującej lata 1945-1985. Zgromadzono ponad 200 eksponatów z dziedziny malarstwa grafiki rzeźby oraz form przestrzennych. W muzeum znajduje się „Galeria 72” która przed 14 laty stanowiła załazek obecnego oddziału muzeum.

Choć słarszasty mroz i zawieje śnieżne, w licznych placówkach kultury dzieją się rzeczy godne uwagi. W Wojewódzkim Domu Kultury w Chełmie odbył się recital Bożeny Betlej-Sieradzkiej, solistki warszawskiego Teatru Wielkiego: „W świątecznym nastroju”. W podobnym nastroju poprowadzony został pierwszy w tym roku koncert w ramach edukacji muzycznej dzieci i młodzieży z udziałem artystów scen warszawskich: stołeczny Teatr Popularny wystawił „Antygonę”, lubelski Teatr Muzyczny baśń „Czarodziejski pierścień”, wystąpił również kabaret Jonasza Kołty.

W Puławskim Ośrodku Kultury „Dom Chemika” Puławski Teatr Amatorów wystawił spektakl pt. „Ojciec” A. Strindberga. Teatr Młodych spektakl pt. „Przedstawienie Hamleta we wsi Gluchna Dolna” Ivo Bresana. Teatr Lalek „Muehomor” spektakl pt. „Miś Babelk u rozbójników” wg tekstu Bogusławy Konstanty i Rafała Łukaszczyka. Odbędzie się wieczór muzyczny „Jam session”. Galeria „Szatnia” zorganizuje wystawę plakatów Andrzeja Pagowskiego i Jerzego Czerniawskiego. Wystawiono ilustracje do znanych bajek wydawnictwa „Epoka” malarstwo Mikołaja Kasprzyka. Pokazano szereg ciekawych filmów w ramach cyklu „Historia sztuki”. „Sylwetki pisarzy” z dziedziny muzealnictwa kolekcjonerstwa, rzemiosła artystycznego, sztuk plastycznych, przyrody. Ciekawy repertuar zaprezentował Dziecięcy Dyskusyjny Klub Filmowy.

W Filharmonii Lubelskiej zaprezentowano widowisko biograficzne poświęcone autorowi Trylogii, a zatytułowane „Dla pokrzepienia serc”. W roli gospodyni wystąpiła Barbara Wachowicz. Jej zaproszenie do spotkania z lubelską publicznością przyjęli: wnuczka pisarza — Maria Stenkiewicz, Bogna Sokorska, która przy akompaniamencie Jerzego Sokorskiego śpiewała pieśni Montuski i Chopina, w roli pisarza wystąpił Andrzej Matul, zaś jako Marie — aktorki Teatru Poczta Małgorzata Kowalczyk i Barbara Biela. Chór kameralny LDK prowadził Ewa Ordyk i Henryk Czyżewski.

W galerii lubelskiego SWA swoje prace — konstrukcje drewniane — powstałe w latach 1950-66 zaprezentował Jerzy Bereś. Krakowski artysta uczestniczył we wszystkich ważniejszych prezentacjach organizowanych przez miejscową galerię. Prezentacja „Nowa treść” jest największą i najpełniejszą jeżeli chodzi o pokazanie zainteresowań twórczych artysty w ostatnich latach.

W Teatrze Laiki: Aktora dwie premiery. Pierwsze przedstawienie „W kramie Muminków” (na podstawie książki Tove Jansson i baśni braci Grimm) wyreżyserował w oparciu o swój scenariusz Seweryn Mestyna Scenografia jest dziełem Ireneusza Gaiwy. muzykę napisał Tadeusz Woźniak. Drugie przedstawienie oparte na tekstach Anny Bećcian (niegdyś pracowała w „Kamieniu”), to szopka dla dzieci w kabaretowym stylu.

Teatr Studyjny Agencji Koncertowej OSE w Lublinie zorganizował spektakl Güntera Grassa pt. „Powódź” z udziałem artystów Teatru im. Horzycy z Torunia.

W Krajowym Domu Twórczości Ludowej w Lublinie otwarto wystawę rzeźby ceramicznej Władysława Prucnal z Medyni Głogowskiej (woj. rzeszowski). Przy okazji można było obejrzeć widowisko obrzędowe „Herody” w wykonaniu zespołów ludowych z Wojciechowa i Siłnika.

I w Białej Podlaskiej rozpoczęło działalność Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury. Ustalono że jego siedziba będzie zakładowy Dom Kultury Białskich Fabryk Mebli.

(ko)

Kamena

Przewala się ta krwawa lańnia od Pa-ryża do Delhi, nie uświadamiając za-pewne tym, którzy ją prowadzą, iż za-miast rozerwania skostniałych syste-mów przyczyniają się jedynie do ich konsolidacji.

Dokończenie ze str. 1

własnego społeczeństwa przyjął on właśnie burzliwe wydarzenia z okre-su nasilonego terroru, z początku lat siedemdziesiątych. Ofiarami tego cza-su, obok całej grupy przypadkowych przechodniów, padła także (a w zało-żeniu miało to być żniwo jeszcze ob-fitsze) znaczna grupa działaczy poli-tycznych i gospodarczych RFN. Mi-mo, iż książka Bölla nie jest sensu stricte książką o terroryzmie (pozosta-je on tutaj jakby w tle, w ukryciu, stanowi tylko bezpośredni powód za-istnienia sytuacji), mówi o nim może więcej niż niejedna naukowa rozpra-wa.

Prawdziwym bohaterem „Opiekuń-czego oblężenia” jest strach. Strach po-wodujący zamknięcie się najbogatszej części społeczeństwa w fortcach z ku-loodpornego szkła, rezydencjach naję-żonych łufami karabinów maszyno-wych, biurach przypominających sie-dziby amerykańskich gangsterów z lat trzydziestych, z jednej strony — pre-żja czającego się wszędzie niebezpie-czeństwa z drugiej zaś — świadomość nikłej skuteczności obrony przed nim, doprowadza tych ludzi do szczególne-go stanu spaczenia emocjonalnego, w którym na koniec nie ma już nic na-turalnego. Ich życie prywatne, intym-ne, towarzyskie przestaje istnieć w tra-dycyjnym wymiarze. Ekstremalna sy-tuacja uświadamia im kompletną pu-stkę, w jakiej się znaleźli. Stają się całkowicie samotni.

Ludzkim uosobieniem owej, wspom-nianej wyżej, frustracji społecznej i jednostkowej jest w powieści Bölla szef jednego z wielkich koncernów prasowych, Fritz Tolm. Ze względu na swój status i pozycję w krajowej hier-archii staje się on jedną z pierwszych ofiar „opiekuńczego oblężenia”. Jego życie poddane zostaje całkowitej in-wizacji. Niedostępne są mu już nawet swobodne rozmowy o prostych, codzien-nych kłopotach w rodzinnym gronie (każde słowo wychwytyują wbudowane w ściany mikrofony). Odwiedziny u przyjaciół, czy wyznających zdecydowa-nie lewicowe poglądy synów, stają się wielką, paramilitarną operacją, an-gażującą ogromne siły i środki; ofiary obstawy padają przy tym mniej pro-minentni sąsiedzi, których drobne, nie-dotrzażalne dotąd grzeszki stają się nagle publiczną tajemnicą. To koszmarnie życie budzi w „chronionych” po-dejrzliwość w stosunku nawet do naj-bliższego otoczenia, co gwarantuje do-datkowo zerwanie wszelkich więzi międzyludzkich. „Drgnął, kiedy Blurt-mehl otworzył mu drzwi, akurat w momencie, kiedy on z drugiej strony dotknął klamki, pomyślał: tak to się właśnie stanie, to będzie ktoś, kogo znam, do kogo mam zaufanie, ktoś, kto przeszedł wszystkie testy bezpie-czeństwa”.

W naturalnej pogoni za ludzkim ciepłem owi uchwyceni w pułapkę pa-trycjusze nie znajdują wsparcia na-wet we własnym środowisku. Świadomy toczącej się bezustannie politycz-nej i kadrowej rozgrywki, Tolm zda-je sobie sprawę z faktu, iż zaistniała sytuacja sprzyja znakomicie załatwia-niu osobistych czy wewnątrzpartyjnych porachunków. Myśli: „Nie wykluczone, że Bleibl wyznaczył go w myśli na wabia, przeznaczył na odstrzał; zmę-czony, stary, schorowany — nadął się w sam raz do roli ofiary; zastrze-lony w fotelu na kółkach na górnym podejściu schodów, Pancernik Potiom-kin. On, ten dobroliwy, wykształco-ny, siwowłosy, sympatyczny starszy pan, żaden tyran przedsiębiorczości — zastrzelony. Uwięziony męczeńską ko-roną”.

Społeczeństwo rządzone przez grono podobnie wyizolowanych jednostek musi popaść w chorobę; ich działal-ność ma przecież decydujący wpływ na życie całego kraju. Finalny akt buntu bohatera książki jeszcze się po-wiedzie, jeszcze przyniesie mu osobi-sty sukces, jeszcze zachowa coś auten-tycznego w jego życiu, jeszcze uratuje go przed całkowitą dehumanizacją. Co jednak się stanie, jeśli kiedyś „opie-kuńcze oblężenie” potrwa dłużej? Jak-ie siły rozбудzą natrętną dążność do człowieczej wspólnoty wbrew narzuc-o-nym zakazom?

Można oczywiście książkę Bölla po-traktować wyłącznie jako artystyczne przerysowanie, jako dzieło także o wie-lu innych aspektach współczesnej cy-wilizacji (choćby paradoksy wpadania w pułapki własnych wynalazków, po-mysłanych jako obrona przed pułapka-mi). Przede wszystkim pozostaje jed-nak ona analizą „społeczeństwa strachu”. Receptą jej bohaterów na bo-jaźń staje się wołanie o rządy silnej ręki, o zwiększenie sił porządkowych i większą „efektywność” ich działa-nia. Konsekwencją tego wołania jest rozrzębywanie życia każdego, kto nie tylko wyznaje w istocie poglądy lewi-cowe, lecz jedynie wygląda na „lewi-cującego studenta”. I o ile duchowe zubożenie pewnej warstwy społeczeń-stwa można uznać za problem jej wła-sny, wewnętrzny, dla świata obojętny, o tyle owe reakcje spolaryzowane na szary, drobnomieszczański tłum muszą już obchodzić nas wszystkich.

Böll dokonał swojej analizy na przy-kładzie wybranej grupy „arystokracji drobnomieszczaństwa”, zobligowany do tego (zapewne w myśl historycznej prawdy) przez specyficzny charakter działań terrorystycznych w owym cza-sie. Celem napaści stawali się wów-czas przede wszystkim ludzie z ekiny władzy (choć inicjacja terroru w RFN była próba podpalenia supersamu w Frankfurcie w 1968 roku, a więc akcja o szerokim zasięgu). Oprócz owych

prominentów istnieje i strona druga — zwyczajny mieszczuch. To nie przeciw-niemu skierowano programowo ataki, lecz to on właśnie padł ich „uboczna” ofiarą. On także coraz niecierpiwiej wołał o bezpieczeństwo dla siebie; on także domagał się „zaprowadzenia por-ządku”.

Pamiętam Londyn z lat 1972 — 73, kiedy to Irlandzka Armia Republikań-ska ogłosiła, iż „jedna bomba w bry-tyjskiej stolicy znaczy więcej niż pięć-dziesiąt w Ulsterze”. Tam terror, w przeciwnieństwie do grup typu Baader — Meinhoff nie ogniskował się na filar-ach systemu; działał „na ślepo”. Im więcej ofiar, tym bardziej udana ak-cja. Pamiętam, jak nagle rozbudzony strach przytulił się w zacisznych dotąd wnętrzach późnowiktoriańskich kamie-niczek. Pamiętam przytulenia się nie-znanych sobie ludzi (należało raczej się rozpraszać na widok plastikowej tor-by porzuconej na podłodze metra, na-gle spowszechniale domofony, różnego typu instalacje alarmowe, zdalnie o-twierane furtki; pamiętam opustoszałe ulice i restauracje w godzinach naj-większego, wieczornego ruchu miasta, które ma zwyczaj żyć dwadzieścia cztery godziny na dobę. Pamiętam antylabourzystowskie demonstracje zarzucające rządowi nieudolność i brak energii. Wilsona zastąpiła pani That-cher, tak jak Schmidta zastąpił, po odpowiednich politycznych przewarto-ściowaniach — Kohl.

Terroryzm jest zjawiskiem wielo-wątkowym i niejednorodnym. W wymia-rze światowym skupia w sobie naj-rozmaitsze racje: narodowo-wyzwolen-cze, religijne, kastowe, nacjonalistycz-ne, frakcyjne. Można nawet znaleźć dlań racjonalne wytłumaczenie. Włod-zimierz Sochacki pisze na przykład: „Potępiając — z moralnego punktu wi-dzenia — te barbarzyńskie czyny, tra-eba jednak zdawać sobie sprawę, że tych straceńców ukształtowała okre-ślona sytuacja, ich dzisiejsza działalność nie wynika — przynajmniej w więk-szości przypadków — z wrodzonych in-klinaacji do zbrodni, lecz z okoliczno-ści, w których przyszło im żyć, któ-rych nie potrafili zaakceptować”. To racja, ale racją bezwzględna jest i to, że mimo rozmaitych prób interpretacji tego swoistego, choć nie wyjątkowego, curiosum naszych czasów, mimo wiel-kich odłamów wolnościowych zaangażo-wanych w nowoczesną „partyzantkę miejską”, mimo zrozumienia, a nawet możliwej akceptacji pewnych haseł, którymi szermuje — zjawisko terro-rizmu nie ma ideologii, jest w swej istocie jedynie najwykleszą prokla-macją zbrodni. Nie przynosząc istot-nych zysków politycznych, pochłania setki niewinnych ofiar, a bilans strat przekracza tu zawsze bilans pragnień.

Doskonale rozumieli to lewicowi bo-haterowie książki Bölla: „Tamci- [terroryści — przyp. WH] byli prze-stępcami nie pomimo, ale właśnie dla-tego, że grozili poszczególnym osobom, porywali, zabijali, dlatego byli prze-stępcami, nie tylko w sensie moral-nym, nie tylko w sensie politycznym, ale wręcz w sensie, jeśli się uprzeć — fi-lozoficzno-teoretyczno-teologicznym, bo dawali systemowi «dostarczać» ofiar, męczenników”.

Oprócz tych ofiar i męczenników chaos i destabilizacja wywołane terro-rem dostarczają także argumentów za „robieniem porządku”, stwarzają sy-tuacje „wyższej konieczności”. Samotny, przestraszony mieszczuch, owładnięty wizją utraty, w bezsensowny sposób, tak mozolnie gromadzonych wokół sie-bie dóbr, zawsze będzie głosował za rządami „silnej ręki”. Czy powrót w wielu krajach zachodniej Europy do rządów o orientacji zdecydowanie konserwatywnej jest przypadkiem? Czy jest on wyrazem jakiegoś anti-historycznego stąpienia naszego kont-ynentu do tyłu? A brytyjski National Front z wczesnych lat siedemdziesią-tych?

Była Anglia i RFN, Włochy i Hisz-pania. Teraz jest Francja (by ograni-czyć się z założenia tylko do Europy). Lekceważenie tego zjawiska stanowi istotny błąd w politycznym widzeniu. Poddawany ciąglej kuracji wstrząso-wej, drobnomieszczański boi się coraz bardziej. Terror nie jest jedyną przy-czyną tego lęku, ale i lęk nie jest jed-yną konsekwencją terroru. Zauważo-ny przez Heinricha Bölla ogromny la-dunek wybuchowy, ukryty w paranoi strachu, to zagrożenie dla pokoju mo-że nawet nie mniejsze niż wciąż roz-kręcana spirala zbrojeń. Owo poczucie lęku może pewnego dnia wyrwać Europę z błogiego, ponad czterdziesto-letniego snu w stabilizacji i pokoju. Człowiek, który się boi, potrafi bo-wiem zawsze poderwać się na odgłos głośnego werbla; akcja równa się wszak reakcji, a życia w strachu nau-czyć się trudno. Dlatego stwierdzenie: „Jedynie w wypadku osób, na które wskaże los, czyli przypadek, cena bę-dzie wyższa: ich życie” pachnie non-szalancją (Krzysztof Mrozwiewicz „Prze-cena strachu”, „Polityka” nr 41 z 11 X 1986), a termin „przecona” tworzy wy-jatkowy dysonans z pojęciem strachu.

Wiesław Horabik

Zderzenia

JESZCZE NAM STAREGO BRAK!

„NAD WIELKIE spodziewanie nasze otrzymaliśmy niemal siła, bo w ciągu czterech miesięcy, stanął teatr w Lublinie, kosztem JP Rodakiewicza nowo z fundamentów wymurowany” — tak entuzjastycznie rozpisywała się w 1922 roku „Gazeta Warszawska”.
W ciągu 164 lat istnienia — w niezmiennym prawie stanie wewnątrz — budynek ów przy ulicy Trybunalskiej na Starym Mieście był i teatrem, zwanym ongiś Zi-mowym, Teatrem Makowskich, i kinem o europejskich i swoich nazwach — „Theatre Optique Parisien”, „Rialto”, „Staromiejskie”. Opustoszały, na naszych pra-wie oczach popadł w taką ruinę, iż tylko dawna śla-sza po nim pozostała, bo doczesne mury i reszta mają się bardzo źle. A jest to — jakkolwiek by było — jed-yn z pierwszych stałych budynków teatralnych w Polsce! I dlatego, że wszędy miar wart odbudowania. Ma Kraków swój Teatr Stary, dlaczego nie miałby mieć takowego i Lublin! Ale...
Zachęcenie i zmobilizowanie przez oddzielną pracę lu-belską, mieszkańcy Lublina już składają się na od-budowę własnego Teatru Starego. Także i „Zderzenia” się wymigają się od zrzutki, dziwiąc się jednak nie-pomiernie, jak to jest? Jeszcze się miasto od dziesię-tolecia nie wygrzebało z budową nowego Teatru Wie-kiego, a już na Stary przyszła chęć?

Rany boskie! A skąd „nabierzemy” tylu aktorów, obsługi, administracji i mieszkań dla owych? Wstyd też będzie nie odbudować teatru przy Trybunalskiej w terminie nie dłuższym, jak to uczynił JP Rodakiewicz. Było do czasu zebrania odpowiedniej sumy jeszcze co ze starego obiektu zostało!
Bardziej niż społeczna kwesta ucieczyłaby wiadomość, że oto znalazła się jakaś agencja — prywatna, pań-stwowa, ogólnopolska, czort wie jaka, krajowa, polo-nijna, z ograniczoną odpowiedzialnością lub nie (po-trzebne podkreślić) — i wywołanie z ruiny ten obiekt nie tylko przez sentiment, a realną wizję jego wyko-rzystania, niekonieczne na Teatr Stary, o może na Małą Scenę Teatru Wielkiego, scenę staromiejską, stu-dyjną (potrzebne wpisać)?

Tylko żeby znów, po latach, z braku dotacji na kul-turę, obciążenie funduszy na konserwację i remont obiek-tów zabytkowych, morderczych podatków i domiarów, braku materiałów, mocy przerobowych, fachowców, własnej niegospodarności i niezaradności użytkownika — obiekt ten nie obrócił się w ruinę. Bo drugi już raz lubliniacy nie dołożą złamanego grosza do składki na jego odbudowę. „Zderzenia” również.

COŻ DAMOM PO KINDŻAŁACH?

W ZŁOSC można było wpaść na widok towarów, jak-że nasz krajowi, a za nimi i lubelscy handlowcy — bo czyż mieli co innego do wyboru? — sprowadzili na święta do Lublina.
Zamiast wąż z chińskimi laci za 60 tys. złotych i chiń-skich zegarów po 30 tys. z kawalkiem, zamiast zwień-czonych, niemieckich (RFN, NRD?) sukien i kapeluszy (zapewne odrzut po lenie) „My Fair Lady” za 34 tys. złotych i albańskich kindżałów 4 15 tys. złotych, lepiej by handlowcy owi zamówili więcej bawelnianych, dam-skich majtek z nogawkami. Tak jest, majtek, bo tylko o meskich kalesonach mówi się „cieple niewymowne”. No, zgoda, piase się „reformy”, których ani uświad-

czyć w naszych sklepach. Owszem, latem mignęły chiń-skie barchany, ale już po nich ani widu, ani słychu. A tu zimno, podwiewa i leków na przeziębienie „tych rzeczy” także brak.
Coż więc damom po kindżałach?

PO CO NAM LAS?

NO, WŁAŚNIE. Takie wrażenie odnosi się, spaceru-jąc skrajem pawłowskiego lasu koło Bychawy, Wies-ław Pawłowski, widąc dostatnia, na poziomie, a las mająca jakby w pogardzie. Wyrzuca się tu wszystko, co tylko ze wsi wywiec można i cisnąć pomiędzy drzewa. Jak widma, snują się po pnich worki po nawozach. Nie ma we wsi gospodarzy, ani z urzędu, ani z nawyku, by znaleźć, wydzielić i zorganizować miejsce na wiel-skie wysypisko śmieci. I nie tylko tam, w Pawłowcu. Podobnie we wsi Dalekie, w województwie białsko-podlaskim. Od lat straszą tam doly zapełnione samo-chodowym żelastwem i jakimiś cuchnącymi odpadami. Interweniowali w tej sprawie tamtejsi myśliwi, bez większego skutku.
A przedjmy lasem krańcikiem w stronę Zakrzówka. Butelki, stare garnki, szmaty, odpady. Ludzie, idący skrajem za grzybami, nieraz pokaleczyli nogi. Po co komu las?

TURYSTYCZNE

— NO TO, PROSZE PAŃSTWA — zwraca się do wy-cieczki przewodnicząca — skończony piętnaście minut wcześniej zwiedzanie, by państwo mogli odwieźć się przed objadaniem.
— Pani, cożmy to się, z... bli, żeby myś rece? My-smy tu przyjechałi, by poznać historię, zwiedzać za-bytki, muzea, teatr...
(dey)

HOROSKOP OPTYMISTYCZNY

DOBREJ ZABAWY!
(Dokończenie
z poprzedniego numeru)



23 lipca —
22 sierpnia

ROK NIEZWYKLE OŻYWIŁY. Wiele nowości i wydarzeń. Tylko pierwsze miesiące jeszcze trochę monotonne jak na twoje upodobania. Dużo pracy, ale i wyrazów uznania. Pewna osoba nie będzie ukrywać

swojej dodatniej opinii o tobie i to przyczyni się do ogólnego pozytywnego zdania na twój temat. Możesz mieć trudności z powodu obietnic, które masz zwyczaj czynić dość pochopnie i pod wpływem chwilowego entuzjazmu. Potem entuzjazm mija, a obietnice pozostają. Chcąc wyjść z honorem, zaczynasz się złościć zwykle na tych, którzy nie mają z tym wszystkim nic wspólnego. Wiele tracisz w związku z tego rodzaju postępowaniem. Lato, a właściwie już wiosna, mogą być bardzo interesujące. W pracy nowe propozycje, być może wyjazdowe, i to bardzo korzystne. W sprawach serca decyzje. Rozważ dobrze, co na nie wpływa. Jeśli wyłącznie ambicja, to potem możesz żalować. Cechuje cię zbyt dużą wrażliwością na wszystko, co błyszczące, imponuje. To nie zawsze bezpieczne zamilowanie. Pozory mogą czasem mylić. Uważaj więc w czerwcu lub w lipcu, bo możesz zawieść się na kims lub na czymś, co pociąga cię świetnymi pozorami. Natomiast lekceważenie zarówno osób, jak i rzeczy, które wydają się skromne, jest przyczyną, że nie dostrzegasz wielu spraw lub ludzi, którzy mogliby znacznie korzystnie wpływać na twoją sytuację, niż ci się wydaje. Lato spędzisz miło i w sympatycznym towarzystwie, nie zabraknie okazji do flirtów i zabawy. Jest to rok dobry dla małżeństw młodych i starszych, a zwłaszcza tych, które mają dzieci lub ich oczekują. Chwilami da się odczuć zmęczenie różnymi domowymi obowiązkami. Wrzesień, październik i listopad będą bardzo ważne. Chyba czeka cię awans. Finansowo rok pomyślny, ale wiele nowych wydatków na dom, rodzinę i siebie. W listopadzie zadaj o kogoś starszego od ciebie, nie sprzeczasz się, wykazuj tolerancję. Jest to rok twej szansy, ale musisz ją mądrze wykorzystać. Ktoś bliski, o kim zapominasz liczy na twoją pomoc.

23 sierpnia —
22 września

OSTATNI ROK BYŁ DLA CIEBIE w sumie nie najgorszy, choć mogły ci dokuczać, zwłaszcza w ostatnim okresie, różne wewnętrzne rozterki i depresje. Nowy rok sprzyja stabilizacji. Przede wszystkim w pracy. Jeśli wej-

dziesz na nową drogę, podejmiesz na nowo porzucone sprawy lub zetkniesz się z nowym gronem ludzi — to choć będziesz jeszcze doznawać wahań i trudności, okoliczności będą ci sprzyjać, odzyskasz dobre mniemanie o sobie i zaufanie innych. Cel zarysuje się wyraźny, a szanse niewątpliwe. Wielu osobom spod tego znaku zaświeci szczęśliwa gwiazda w sprawach sercowych. Uczucie — dość niezwykle, które zapoczątkować mogła nawet nieuzasadniona niechęć — stanie się prawdopodobnie ważnym dla ciebie przeżyciem, podjętą dla twoich zdolności artystycznych, na które patrzysz bardzo sceptycznie. Skłonność do krytyki, do widzenia spraw i ludzi aż nazbyt realistycznie nie przeszkodzi ci w ujrzeniu świata w nowych barwach. Będzie to doświadczenie, które korzystnie wpłynie na ciebie, rozwinięte, a także nie pozwoli zniechęcić się monotonią życia codziennego. W marcu wyjdiesz z jakąś ważną sprawą, która skończy się sukcesem. Wiosna pomyślna; w maju musisz zadbać o kogoś w rodzinie. Lato dość atrakcyjne — zapewne wyjazd w poszukiwaniu czegoś, dla ciebie ogromnie ważnego. Poświęć temu nawet urlop, ale ta wyprawa będzie mieć wyniki znaczące pod każdym względem. W rodzinie masz kochające cię serca, co uważasz za rzecz oczywistą; poświęć im więcej czasu. Nie wymagaj zbyt wiele od ludzi, a jeśli będą ci doradzać, nie zrywaj się i nie lekceważ nieczyjjej iyczliwości. Jesień pracowita i dość ruchliwa, lecz sukcesów nie zabraknie, również i finansowych. W tym roku uzyskasz poczucie własnej siły i samodzielności, a to także zależy od twoich sukcesów. Tyle, że nie za darmo, dojdiesz do nich własną pracą.



23 września —
22 października

NAGLE ZWROTY W TWOIM ŻYCIU, niespodzianki nie zawsze miłe, gwałtowne skoki nastrojów, zmienna opinia otoczenia na twój temat (której zresztą jesteś przyczyną) — to wszystko powinno przestać ci dokuczać

w tym roku. Będzie to rok startu, zapoznawania się z nowymi dziedzinami, obowiązkami. Twoje plany prawdopodobnie staną się znacznie konkretniejsze niż dotychczas, a możliwości bardziej zgodne z ambicjami i zainteresowaniami. Wielu osobom spod tego znaku może się zdarzyć, że to, co dotychczas uważali za swoje dodatkowe zainteresowania, teraz zaczną im przynosić sukcesy. Nie wolno jednak liczyć na same sukcesy. Nie należy lekceważyć potknięć. Wytrwałość, która nie jest twoją cnotą, będzie ci potrzebna szczególnie w kwietniu, maju i czerwcu. Twoje przyjaźnie skryształizują się i będziesz wiedzieć, kogo zaliczyć do ludzi na pewno ci iyczliwych. Ten rok dla wielu Wąg jest związany ze stabilizacją uczuciową. Rozstrzygnięcia nastąpią zapewne pod koniec czerwca lub na początku lipca. Ci, którzy zdecydowali się na małżeństwo właśnie w tym okresie, powinni liczyć na pomyślnie okoliczności. Uważać trzeba we wrześniu, bo mogą wystąpić trudności, zwłaszcza jeżeli w waszym związku zabraknie szczerości i jedno będzie winić drugie za pewne niedociągnięcia natury praktycznej. To samo odnosi się do starszych par. W październiku, po udanym lecie i bardzo towarzyskim urlopie, wiele kwestii związanych ze sprawą mieszkania. Od dłuższego czasu marzysz o jakiejś dalekiej, niezwyklej podróży. W tym roku chyba uda ci się przeskoczyć pewne etapy wiedzące do tego celu. Znajdziesz wielu interesujących przyjaciół. Przez cały rok wierz w swoją wielką szansę. To wpłynie także na innych; masz dar „zarażania” swoim samopoczuciem otoczenia.

23 października —
21 listopada

BĘDZIE TO ROK SUKCESÓW w sprawach uczuciowych i towarzyskich. Przyjaźnie, flirty i sympatie połączą cię z wieloma ludźmi i — co ciekawsze — na tym gruncie rozwijać się będą nowe przyjaźnie i sympatie.



ce twojej sytuacji zawodowej. U niektórych doprowadzi to do zupełnej zmiany ich sytuacji życiowej. Spotkasz kogoś w okolicznościach niezwykłych, w środowisku zupełnie nieznanym. Być może, nastąpi to między lutym a majem lub między sierpniem a październikiem. To najlepsze okresy dla twoich spraw sercowych i rodzinnych. Osoby, które nie zawsze dotychczas miały powody do radości z rodzinnej atmosfery, będą się cieszyć całkowitą harmonią domową. Dzieci przyniosą ci radość, a niepokoje, z nimi się łączące, przestaną dolegać. Rok związany z pomyślnymi wynikami w nauce, studiach. Wszystko pójdzie gładko, a przeszkody nie będą cię zniechęcać ani hamować na długo. W pracy zawodowej najlepsze szanse w styczniu, marcu, październiku i grudniu. Ważne znaczenie mogą mieć na początku roku różne sprawy i formalności natury administracyjnej. W rodzinie pozytywne zmiany w październiku. Prawdopodobnie zaręczyny lub małżeństwo. Może to być dla ciebie rok dłuższych lub krótszych podróży, ogromnie pouczających i wpływających na twoją pozycję zawodową. Musisz bardzo umiejętnie i krytycznie obserwować wszystko, co związane z tymi wyjazdami, śledzić pilnie swoje możliwości i rozpatrywać propozycje bardzo wszechstronnie. Wśród nowych wrażeń nie zapomnij o dawnych znajomościach i przyjaźniach. Analizuj rady przyjaciół i wyciągaj z nich wnioski, nie możesz pozwolić sobie na głuchotę w tej dziedzinie, ale też myśl krytycznie. Wrażeń nie zabraknie ci w tym roku, a chyba i twoje zdrowie będzie lepsze. U niektórych osób z przewlekłymi schorzeniami wystąpi znaczna poprawa samopoczucia. Zdrowi spod znaku Skorpiona nie powinni się poddawać lękom o swoje



22 listopada —
21 grudnia

PIERWSZY KWARTAŁ MOŻE BYĆ dość burzliwy i wymagający rozważań. W sprawach zawodowych zmiany, konieczność zastosowania nowych pomysłów, nowych metod w pracy, ułożenia sobie na nowo stosunków z

otoczeniem. Prawdopodobnie jakieś plotki i intrygi, które przeszkadzać będą w zgodnym współdziałaniu zespołu. Ważna stanie się w tym twój postawa. Jeśli nie pozwolisz się wciągnąć w żadne personalne konflikty, w końcu lutego sprawy unormują się, a dla ciebie wszystkie te kłopoty mogą się okazać nawet korzystne. Marzec może przynieść ci sukcesy, zwłaszcza w dziedzinie naukowej, artystycznej, w publicystyce i technice. W rodzinie styczeń nie będzie miesiącem najłatwiejszym. Chyba dokuczają ci sprawy twego własnego samopoczucia lub konieczność dopilnowania bardziej regularnego trybu życia kogoś z domowników. Dołóż wszelkich starań, aby zdobyć się na obiektywizm, bo dobra atmosfera w rodzinie będzie mieć dla ciebie duże znaczenie. Wszystkie osoby spod tego znaku są lub będą w szczęśliwym położeniu, że znajdą się w ich życiu ktoś, kto za główny swój cel uzna ich zadowolenie, zdrowie i satysfakcję. Jeśli nie potrafisz tego docenić, zrobisz błąd, bo wpływ tego kogoś — pomyślny. W maju i czerwcu ten ktoś pomoże ci zorganizować udany urlop. W lipcu, a potem jesienią, prawdopodobnie przyczyni się do twojego powodzenia w pracy, wprowadzając cię w nowe środowisko, w którym znajdziesz pole do popisu. Młode pary, ale i starsze małżeństwa, powinny liczyć na udany wrzesień i październik. Będą to miesiące wspólnych projektów, dotyczących domu, inwestycji gospodarczych, poważniejszych zakupów. Finanse twoje nie dostarczą nadmiernych zmartwień. Ważniejsze dla ciebie staną się sprawy rodzinne i zawodowe; należy traktować je uczciwie i serio.

22 grudnia —
19 stycznia

WYDAJE SIĘ, że odczuwasz zmęczenie odpowiedzialnością, ale twoja ambicja i obowiązkowość nie pozwolą ci ustać w żadnych wysiłkach, które zmierzają do realizacji ciągle nowych celów. Rok ważny; podejmiesz



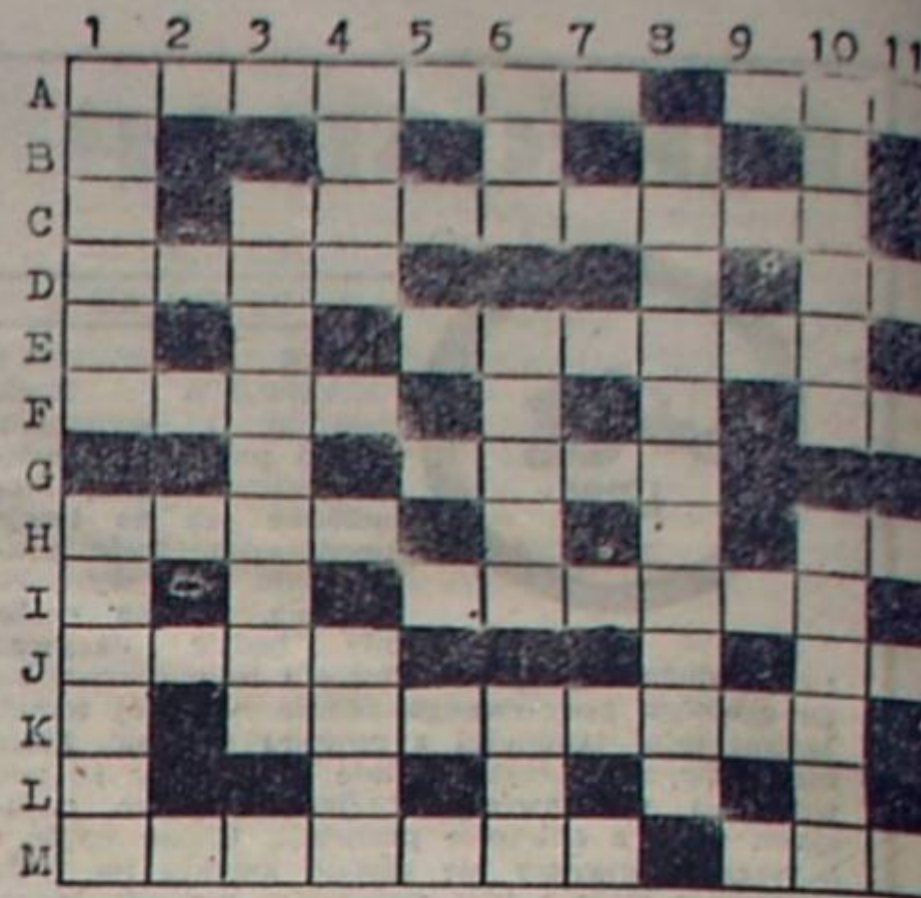
wiele nowych spraw, szansa będzie ci sprzyjać, zwłaszcza w drugiej połowie roku. W pierwszej czeka cię bardzo pracowity i ruchliwy tryb życia: mnóstwo nowych ludzi, istotnych rozmów, spotkań i projektów, nie zabraknie też napięć, zwłaszcza w czerwcu. Jednak niektórzy osoby spod tego znaku, wbrew swoim ambitnym planom, dojdą do wniosku, że najważniejszą jest sfera uczuć i doznań, od których dotąd stroniły. Praca stanie się celem dla osiągnięcia tych radości, których sobie dotąd odmawiały. Bardziej ożywione życie towarzyskie, dbałość o rozrywkę, o swój wygląd, różne imprezy, na które dotychczas nie było ochoty i czasu, bo obowiązki nie pozwalały, teraz złączą cię absorbować i cieszyć. Być może przyjdzie konieczność prowadzenia domu na wyższym poziomie, reprezentacji, przyjmowania ważnych osobistości, co będzie związane albo z twoją karierą, albo z życiową szansą bliskiej osoby. Ster spraw domowych i różne istotne decyzje spoczywają w twoim ręku i od ciebie zależy pomyślność kogoś bliskiego. To ci pozwoli zapomnieć nawet o różnych dolegliwościach zdrowotnych. Wiele samotnych osób, które dotąd nie mogły się zdecydować na związek z kimś swego życia, porzuci samotność pod wpływem praktycznych impulsów do życia we dwoje. I chyba się nie zawiodą. Ten rok przyniesie wiele nowych szans w kontaktach międzyludzkich. Ważna jest nie tylko umiejętność obliczania, organizacji, lecz też dbałość o sprawy, które nie dają się wymierzyć: o nastroje, radości, uczucia własne i otoczenia. Lato może przynieść bardzo interesujące i decydujące dla ciebie spotkania. Jesteś przyniesie szczęście w grze lub jakiś niespodziewany rynek.

Opracował i rysował:
Zygmunt Dyszczyński

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Piotr Kopciowski (zastępca redaktora naczelnego), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórnki (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Maria Dąbka, Mirosław Derecki, Wiesław Korzyński, Tadeusz Janicki (kierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (komentator).
Redakcja techniczna — Ewa Ujeśka, korektor — Barbara Ceban.
Redakcja nie odpowiada za treść materiałów nie zamierzonych, autorstwa osób prawo osobiście. W sprawach literackich przyjmujemy interesantów kierownik działu w godz. 14-18.
Druk (lubelskie Zakłady Graficzne im. "KW" w Lublinie ul. Umiejętne 4).
Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza "Prasa" — Katedra — "Katedra" Lubelskie Wydawnictwo Pracownicze w Lublinie, ul. Jazna 4 tel. 20-34.
Adres redakcji: 20-033 Lublin ul. Skłodowskiej 24.
Telefony: sekretariat redakcji — 20-34, redakcja — 20-34, dział publikacji i korektury — 20-34.
Korespondencje wysyłaj kierować pod adresem: 20-033 Lublin, ul. Jazna 4, redakcja — 20-34, sekretariat — 20-34.

Krzyżówka nr 2 z szyfrem



POZIOMO: A. greckie „o” krótkie ■ fragmenty, okrucny kawalek ■ kiedy trawę jeden C państwo europejskie ■ specjalista od układu nerwowego D. konieczny dla życia składnik powietrza ■ porowaty organizm wodny używany do mycia ■ zamrażnięta mgła E. powieść polskiego laureata Nobla ■ dalekopis F. wiele papierków ■ 52 do gry ■ wielka beczka G. monarszy fotel ■ tenisowe boisko H. materiał opatrunkowy ■ broń owada ■ krem-lekarstwo I. osobiste drobiazgi ■ najedzenie J. mieszanka metali ■ wchodzi w skład korespondencji ■ skręty włosów K. słynie nimi Toruń ■ ateński demokratyczny przywódca i świetny mówca M. była dawniej na świadectwach szkolnych zaraz po sprawowaniu ■ futerał na strzały do łuku ■ stolica Georgii.

A14 — C20 — E16 — I8 — A23 — M20 — A19 — C10 — A12 — D21 — J12 — M23 — H12 — M13 — F16 — I10 — A17 — J23 — H13 — I17 — M6 — E5 — K4 — D12 — J10 — K8 — D23 — M21 — J11 — C15 — C21 — A1 — F18 — M4 — A3 — B14 — A7 — D14 — D4 — H8 — E6 — C9 — K19 — E10 — F23 — I5 — F3 — K20 — M2 — K7 — K10 — L12 — C14 — M14 — D8 — L18 — I18 — M12 — B12.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bon książkowy wartości 500 zł.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI ŚWIĄTECZNEJ Z SZYFREM

POZIOMO: przewiercenie, Mańka, obrok, pasyżyt, oblicze, Ystad, zaclerki, miedź, podpowiadacze, gienza, wulkan, stator, kamee, Erato, zagroda, podorywka, Kapaztad, sanki, barak, wielobok, Indiana, okostna, torek, tuman, aspekt, Wiazma, wybryk, Transjordan, Sługa, amnestia, nazwa, zeberko, stancja, kłosz, Bohun, stenotypistka.

PIONOWO: poszewka, salceson, drag, ryłce, Ohio, kwadrans, boty, inkaso, binokle, aktor, demon, złoty, rękaw, Czepiec, maszty, Iwan półprzewodniki, algi, arsen, zwis, cent, obiektywizm, wróż, Atalanta, rynek, erotyk, rabatka, sigma, carat, remis, epoka, Nikodem, akonto, zsymp, emblemat, osąd, ANZUS, tren, skrzydło, promieniowanie.

SZYFR:

Zamiast w pończosze bądź w bielizniarce trzy-

PIONOWO: 1. odległość ■ prawie recital, 3. kwiat egzotyczny lub minerał, 4. drzewo liściaste ■ sznurek z ciężarkiem, 6. rzeka związana z historią ludowego Wojska Polskiego ■ gromada, tłum ■ drapieżnik z rodziny kotów, 8. jedna z funkcji melioracji, 10. aktor od ról tragicznych ■ stop żelaza z węglem, 12. zimno, chłód ■ pierwiastek odkryty przez Curie-Skłodowską ■ fachowiec, znawca, 14. łączone zawsze z larami ■ grubo mielone ziarno na paszę, 16. środki masowego przekazu, 18. organ jednego ze zmysłów ■ ryba słodkowodna smaczna w śmietanie ■ szklarski klej, 20. dydelf ■ z łabędziem 21. Wyspy Żółwie, 23. ciou ■ buraki z chrzanem.

SZYFR:
H1 — A6 — C5 — M15 — G7 — H22 — M7 —

maj swe zaskórniaki w bonach oszczędnościowych PKO, która zapewni korzystne oprocentowanie.

Nagrody (rzeczowe po 2000 zł) ufundowane przez Narodowy Bank Polski Oddział Wojewódzki w Lublinie (o jedną więcej niż zapowiadaliśmy) wylosowali: Irena Adamczyk, 21-008 Tomaszówce, woj. lubelskie; Stanisław Janus Stachlew 218, 99-418 Belchatów, woj. skierniewickie; Sławomir Kosiński ul. Radości 3 m 3 20-530 Lublin; Maria Kozicka ul. Krochmalna Ekspedycja Kolejowa, 20-401 Lublin; Jan Małek ul. 1 Maja 12 „B”/11, 47-220 Kędzierzyn-Koźle.

Liczyć grosz serdeczny!

W OSTATNIM, noworocznym numerze bratniego dwutygodnika społeczno-kulturalnego „Warmia i Mazury” spostrzegłem, iż cała ostatnia strona wygląda zupełnie inaczej niż zwykle. Ramka przy ramce, jedna ozdobięsza od drugiej, a w tych ramkach dziwne teksty:

Powiadamy wszem i wobec, że nasz uroczy synek i wnuczek Mateusz 8 stycznia 1987 r. ukończy pierwszy rok życia.

Rodzice i Dziadkowie

Kochanym wnuczkom, Magdzie i Monice, so-
mnych szczęśliwych dni w 1987 roku życza
Babcia i Dziadek

Naszemu wspnianemu Koledze Janowi Kinowi najserdeczniejsze życzenia z okazji urodzin pierwszego wnuka Januszka. Tracimy zapewne cennego kompana do dyskusji i kart, który teraz swój wolny czas poświęci wnukowi. Ubolewamy nad tym, a jednocześnie życzymy Jasiowi wielu pięknych, kolorowych dni u boku wnuczka.

I tak dalej i tak dalej, do dwunastu! Redakcja tak tłumaczy swoją inicjatywę: Wszyscy liczą każdy grosz więc i my jesteśmy do tego zobowiązani. Aby obniżyć koszt wydawania naszego dwutygodnika wprowadzamy płatne ogłoszenia. Chcielibyśmy jednak, aby nie były one sprzeczne z charakterem naszego pisma. Praagniemy u-
dostępnić swoje łamy ogłoszeniom szczerym —

serdecznym. Żeby unaocznnić czytelnikom, o jakie ogłoszenia nam chodzi, zamieszczamy dziś (artyst!) kolumnę wzorcowych tekstów. Dalej następuje informacja, kto przyjmuje ogłoszenia oraz przypomnienie, że dwutygodnik rozprowadzany jest w całym kraju. Brak tylko ceny tych ogłoszeń. Szkoda, może bym sam skorzystał dla dziennikarzy chyba przewiduje się 50-procentowa zniżkę? Co bym w takim ogłoszeniu chciał zapodać? Choćby np. to:

Mojemu drogiemu przyjacielowi, redaktorowi naczelnemu „Warmii i Mazur” Tadeuszowi Willanowi, i mojej drogiej (platonicznej!) przyjaciółce, sekretarzowi redakcji tegoż pisma, Grażynie Sokolowskiej, życzę w Nowym Roku, by troszczyli się o siebie nawzajem, nadal regularnie przesyłali mi swój dwutygodnik, bo jak przypuszczam, lektura ogłoszeń serdecznych korzystnie wpłynie na mój intelekt, a ich propagowanie podwójnie ma skromną stopę życiową.

A swoją drogą próbowała już takie ogłoszenia zamieszczać „Rzeczywistość”. I co? Przestała. Widocznie u nas częściej życzy się, aby ktoś poszedł do diabła, niż by żył długo i szczęśliwie...

Niemniej i naszą redakcję gnębi deficyt. Może rzeczywiście kontynuować dawniejsze próby z ogłoszeniami? Dawaliśmy już je, choć chyba obie zainteresowane strony nie były nimi zbytnio usatysfakcjonowane. Nie dziwię się; na miejscu, w Lublinie są dzienniki o większych nakładach...

Ale skoro rodak rodaka gotów jest utopić w łyżce wody, spróbujemy zaproponować ogłoszenia niekulturalne. Na przykład:

Powiadamy wszem i wobec, że Jan Majsterkowicz jest swinią do setnej potęgi i do dzisiaj nie oddał mi 200 złotych, które pożyczył ode mnie w latach Dekady Sukcesu. Ostrzegam trnnych przed tym wydrwiogroszem. (Podpis).

Albo:
Mój syn, Jurek Zabijacki nawiał z domu, ukradłszy mi złoty zegarek marki Omega i sztuczną szeczekę prababki, mająca nie tylko pamiątkowy charakter. Ostrzegam przed nabyciem wyżej wymienionych przedmiotów, ale Ty, Jureczku, wróć, bo serce łka z bólu.

Stroskani Rodzice

Albo:
Nie kupujcie powieści Zbigniewa Wiosennego, bo to chała do kwadratu. Szkoda zdrowia i pieniędzy. Kto mu to wydaje? W jakim celu? Apeluujemy do IRCh o dogłębne zbadanie problemu. Czytelnicy, którzy dali się nabrać

Albo:
Jan Koziołcki podaje się za kawalera, ale to skurwiel, miał już mieć żon i trzu konkubiny, napłodził dzieci do groma i nie na nie nie daje. Ostrzegam wszystkie kobiety, jego potencjalne kochanki, by omijały go z daleka.

Skrzywdzona bez dziecka

Jak widać, pole do popisu może być ogromne, a przy tym, aczkolwiek redakcja za treść ogłoszeń w zasadzie nie odpowiada, procesy potocza się lawinowo, co nie pozostawia bez wpływu na zainteresowanie się piśmie i zdobędzie mu grono nowych czytelników.

Oczywiście mamy w zapasie, kiedy nasze Wydawnictwo już całkiem zbiednieje i inny pomysł. Np. drukujemy każdy, dosłownie każdy wiersz jeśli tylko autor zapłaci za jego druk powiedzmy, 500 złotych (uwzględniamy inflację) od liniłki (Oczywiście jest zrozumiałe, że utwór nie może gościć w to czy tamto ale od tego sa odpowiedzialnie paragrafy!) Panie poetki i panowie poeci! 500 złotych za liniłkę to prawie za darmo, gdyż każda z tych liniłek trzeba pomnożyć przez ogólną liczbę egzemplarzy. Przy nakładzie pisma w wysokości, dajmy na to, 20 tysięcy egzemplarzy liniłka wiersza będzie kosztować zaledwie 2,5 grosza!

Kto zapoczątkuje ów eksperyment? Osobiście wróżyłbym mu większe powodzenie niż ogłoszeniom serdecznym... I śmiem sądzić, że te wiersze opłacane przez twórców miałyby większe wzięcie wśród czytelników niż utwory, za które honorarium płaci redakcja!

M. A. Jaw.

Oдноśne zezwolenie na sempiternę

N INIEJSZYM wnoszę o poszerzenie spisu urzędzeń, których posiadanie wymaga odnośnego zezwolenia. Proponuję zacząć od procy, która jest bardzo niebezpieczna, ponieważ przypomina historię Dawida i Goliata. A z czego, przeważnie składa się dana proca? Dana proca przeważnie składa się z gumy. O ile się posiada gumę, to zawsze można skonstruować procę. Jeżeli obywatel posiada, nrwoda, majtki, to tak jakby posiadał procę.

Dlatego konieczność posiadania odnośnego zezwolenia na posiadanie procy powinna być rozciągnięta na wszystkie urzędzenia, w których skład wchodzi guma. A to: szelki, majtki, kalesony, prezerwatywy, reformy (za wyjątkiem gospodarczej, na którą, jak wiadomo, odnośne zezwolenie już jest), rajstopy, rajtuzy i tym podobne.

Zwracam ponadto uwagę, że poza wyżej wymienioną grupą urzędzeń procentowoczych istnieją jeszcze inne, rów-

niez bardzo niebezpieczne. Weźmy taką na przykład sempiternę, która jest bardzo niebezpieczna, albowiem w określonych okolicznościach może miotać chemiczne środki obozowładniające (produkty chemii organicznej) lub oddawać wystrzały alarmowe i sygnałowe. Toteż stanowczo uważam, że posiadanie sempiterny wymaga odnośnego zezwolenia.

W świetle dotychczasowych rozważań nasuwa się zagadnienie osobników posiadających i użytkujących wymienione urzędzenia bez odnośnych zezwoleń, których to zezwoleń nie chcieli bądź nie potrafili zatawić. Otóż osobnicy tacy powinni wymienione urzędzenia bezwarunkowo zdać na magazyn Pod kara. Przy tym o ile idzie o zdawanie urzędzeń procentowoczych, jak majtki,

kalesony i tym podobne, to nie powinno być istotnych trudności. Należy tylko wskazywać przykład naszych pracjóów, którzy nosili skóry na gołym ciele.

Przejsiową trudności mogą natomiast wystąpić przy zdawaniu nielegalnych sempitern. Ponieważ sempiterna stanowi nieodłączny składnik obywatela, więc co poniektórych obywateli trzeba będzie zdać na magazyn w całości. No i bardzo dobrze! Pozwoli nam to wyeliminować element słaby, leniwy, nie posiadający dość ani siły przebiecia Zredukować, prawda, całe to frajerstwo, które umie tylko stać w kolejkach i narzekać.

(Pd)